



ROK LVIII

NR 13

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DZIAŁO KOBIEK

WARSZAWA, 28 MARCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Bez obłudy—*M. Holder-Eggerowa*. Z dziejów ruchu kobiecego na Górnym Śląsku—*M. Zn.* Dwaj Amerykanie—*K. S.* Napoli Parthenope (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Aforyzmy—*K. Sch.* i *Z. Z.* Braterstwo ludów—*Marja Jehonne-Wielopolska*. Pantofelek (bajeczka prawdziwa) dok.—*Paweł Winikowiecki*. Wędrowki Dżerdżelesa, tłum. z serbsko-chorwackiego—*M. Zn.* Szczepańska. Młode lata księcia Adama Czartoryskiego (c. d.)—*Aleksander Krausbar*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—*I. Fabrycowa*. Z Wilna—*Z. Mackiewiczówna*. Z książek—*Z. Szmydtowa*. Guziczki niciane—*Z. M.* Jak stworzyć najmniejszymi środkami urządzenie pokoju—*J. S.* Korespondencje działu praktycznego Ryby morskie—*Pani Elżbieta*. Święcone—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy 1). Białe Pawy—powieść *Henry Bordeaux*—autoryzowany przekład *M. Domańskiej*, 2) „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu” (ciąg dalszy) Dodatek robót i ubiorów.

TABLICA KROJÓW.

BEZ OBŁUDY

Są w życiu ludzkim pewne prawdy nienaruszalne, są zasady, których tknąć nikt się nie waży, tkwiące głęboko w duszach i mózgach ludzkich, ale obok tych świętych prawd i zasad istnieją przyjęte zwyczajem wiekowym zbrodnie, sankcjonowane przez prawo i rządy, tolerowane przez społeczeństwa. Są to zbrodnie, nieobjęte kodeksem karnym, zbrodnie, o których się nie mówi. Jedni unikają rozmowy na ten temat przez zwykłą wstydliwość i skromność, inni dlatego, że im z tem dobrze. A jednak czas jest rzucić z siebie maskę wstydliwości i obłudy, spojrzeć prawdzie w oczy, odkryć nędzne łąchmany, pod którymi kryje się przepaść nędzy ludzkiej, wrzód, ropiejący na żywym ciele narodów. Zbrodnią tą jest prostytutka, sprzedażność ciała ludzkiego. Jakiem prawem ludzkość cywilizowana, wychowana w zasadach - etyki

chrześcijańskiej, skazuje część swego społeczeństwa na zagładę moralną?

Jakiem prawem toleruje się wciąganie i spychanie setek tysięcy, milionów, niewinnych dzieci i dziewcząt na dno najgłębszej nędzy moralnej? Wszak to są żywe dusze ludzkie, dusze stworzone na obraz i podobieństwo Boga. Kto bierze na siebie odpowiedzialność za znieprawienie, zwyrodnienie i potępienie tych dusz? Czy tylko ci, niegodni miana człowieka przestępcy, którzy je do tego popychają, którzy ciągną zyski haniebne z frymarchenia ciałem ludzkim? Czy te rządy i władze państwowe, które koncesjonując domy rozpusty, lub tolerując tajne domy schadzki, stają się tem samem współwinnymi tej strasznej zbrodni zaguby dusz ludzkich? Nie, odpowiedzialność spada na całe społeczeństwo, a przede wszystkim na nas, kobiety.

Wstydem okryć się winny czoła nasze, że dotąd z ust naszych nie wyrwał się głośny krzyk protestu, że godność kobieca jest poniewierana w tych oto nieszczęsnych ofiarach, skazanych na wieczną poniewierkę, na hańbę i pogardę reszty świata.

A imię ich legion! Pomimo oficjalnego zamknięcia domów publicznych we wszystkich prawie państwach Europy, liczba ich rośnie, coraz więcej przybywa tych wydziedziczonych, nieszczęsnych ofiar warunków socjalnych. Coraz więcej godność kobiety jest poniewierana, coraz więcej dusz ludzkich, skazanych na śmierć moralną, coraz więcej istot, które w innych warunkach mogłyby się stać pozytecznymi członkami społeczeństwa, ginie w mętach życia, szerząc zgniliznę moralną i fizyczną. Czem się to dzieje? Czyż to jest odwieczne prawo natury, które wymaga ofiar z ciał ludzkich?

Nie, prawem natury, jest prawo każdego człowieka do życia w pełni praw obywatelskich, zachowania swej godności, do rozwoju intelektualnego i moralnego, a nie do zatracania wszystkiego, co w nim jest boskiego, szlachetnego i pięknego. Powiadają niektórzy, że zagadnienie prostytucji jest odwieczne, jak świat, że rozwiązanie tego problemu jest niemożliwe. A ja śmiem twierdzić, że prostytucja jest hańbiącą plamą na kulturze i cywilizacji XX wieku, że społeczeństwa i narody, które nie potrafią zmyć tej plamy, nie są godne szczyć się mianem kulturalnych narodów.

Powstaje więc pytanie, co robić, ażeby raz nareszcie położyć tamę temu, co ubliża godności ludzkiej, godności kobiecej przede wszystkim... Tu nasuwa się cały szereg zagadnień, którym trzeba się przyrzec, ażeby znaleźć klucz do rozwiązania tego smutnego i bolesnego problemu.

Nie pomogą bowiem żadne przepisy prawne, rozporządzenia administracyjne i policyjne, póki nie sięgniemy głębiej, póki nie zrozumieemy, że główne źródło zła tkwi w systemie wychowawczym naszej młodzieży. Zasada podwójnej moralności, powszechnie stosowana przy wychowywaniu młodzieży we wszystkich narodach, zasada która znalazła nawet zastosowanie w prawodawstwie wszystkich państw, stosując inny wymiar kary za te same przestępstwa dla mężczyzn jak dla kobiet, musi ulec gruntownej rewizji. Dlaczego młodzieży męskiej nie obowiązują te same zasady moralności, zachowanie czystości aż do chwili zawarcia małżeństwa, jak młodą dziewczynę? Dlaczego rodzice lub opiekunowie z pobłażaniem patrzą na zbyt wczesnie rozwijający się popęd płciowy u młodzieży męskiej? Częstość nawet system wychowywania, otoczenie, w którym się obraca ta młodzież, warunki nieodpowiednie sprzyjają zbyt wczesnemu rozbudzeniu niezdrowych instynktów, które prowadzą do grzechu, do deprawowania niewinnej duszy chłopca. Oprócz warunków domowych, ulica wielkiego miasta dopełnia reszty. Sensacyjne obrazy

kin, niezdrowe widowiska, pornograficzne wydawnictwa, spotykane na każdym kroku, ómy nocne, zaczepiające w zaułkach ulic młodzież męską, wszystko to się składa na powolne zatrucie duszy młodzieży jadem zepsucia, zgnilizny moralnej.

Prawda, że tu działają różnorodne czynniki, z którymi walka będzie trudna, ale trzeba przede wszystkim rozbudzić to wielkie zrozumienie, że społeczeństwo nasze stacza się w przepaść, że niebezpieczeństwo straszne grozi przede wszystkim naszej młodzieży, zatruwając jej duszę, a temsamem i duszę zbiorową narodu, że trzeba, chcąc ją ratować, wypowiedzieć walkę wszystkiemu, co zagraża naszej moralności.

To zrozumienie jakby zamarło w naszym społeczeństwie. Nieliczne porywy walki ze złem, prowadzone przez jednostki, intuicyjnie wyczuwające groźbę obecnego stanu rzeczy, są jak dotąd bezcelowe i nie doprowadzają do konkretnych wyników. Walkę tę musi podjąć całe uświadomione społeczeństwo, wszystkie czynniki wychowawcze, organizacje społeczne, ciała samorządowe, ustawodawcze, i rządy państw.

Wysiłki te muszą pójść od dołu, od tych którzy najbardziej są zagrożeni, z tej pierwszej komórki ustroju państwowego, jaką jest rodzina. To wielka kwestja wychowania młodzieży, kwestja pierwszorzędnej wagi, której owoce dopiero następne pokolenie zbierać będzie.

Drugie zagadnienie niemniej ważne, bo bezpośrednio związane z istotą prostytucji, to zagadnienie socjalne. Kto miał możliwość zetknięcia się z temi parjaskami życia miejskiego, wniknięcia w ich duchowe tajniki i stosunki rodzinne, mógł skonstatować, że przyczyną upadku tych nieszczęśliwych istot były przeważnie ciężkie warunki materialne, brak odpowiednich podstaw moralnych, wychowawczych, w otoczeniu występku, zbrodni, ostatniej nędzy. Wszak statystycznie dowiedziona jest rzeczą, że 90% prostytutek rekrutuje

się z dzieci nieślubnych, opuszczonych, pozostających bez opieki rodzicielskiej. Ulica wychowała te bezdomne istoty i ulica je przyjęła jako żer namiętności męskich. W zaraniu ich życia czeka na nie występny handlarz żywym towarem, stręczyciel i sutener. I giną setki, tysiące, miliony w odmętach życia, stracone dla ludzkości, martwe duże, skazane na wieczną śmierć!

Możnaby je wszystkie uratować, skierować na dobrą drogę, dać godziwą pracę, uczynić z nich pożytecznych członków narodu. Trzeba współdziałania rządu, trzeba zapewnić im opiekę państwową, która musi sięgać jak najgłębiej, ażeby nie było dzieci opuszczonych, dziewcząt pozbawionych pracy, oddanych na łup zwyrodniałych jednostek. Trzeba otworzyć więcej schronisk dla dzieci, czuwać nad tem, ażeby one nie przebywały w otoczeniu, deprawującym ich młode duszyczki, kierować ich wychowaniem, dając jednocześnie wykształcenie zawodowe, odpowiednio do uzdolnienia.

Dla dziewcząt trzeba zakładać domy wychowawcze, warsztaty pracy tak, ażeby każda młoda dziewczyna, przybywająca do miasta, znalazła przytułek, pracę, któraby ją ustrzegła od zbrodniczych sideł handlarzy. Obowiązek ten czuwania nad dziewczętami leży w znacznej mierze na organizacjach społecznych, jak Tow. Ochrony Kobiet, Stow. Młodych Kobiet i innych, lecz wszystkie te organizacje nie rozporządzają dostatecznymi środkami materialnymi, ażeby móc podołać tak wielkim zadaniom. Na to złożyć się muszą: Rząd, samorządy i społeczeństwo. Trzeba na to środków, olbrzymich środków! Ale środki te znaleźć się muszą i opłacać się stokrotnie. Trzeba tylko rozbudzić przekonanie, że obowiązkiem naszym uczynić wszystko, ażeby nie pozwolić ginąć marnie i bezużytecznie dla państwa tysiącom kobiet, których uczciwa praca przysporzy bogactwa krajowi.

Akcja zapobiegawcza, umiejętnie przeprowadzona przez instytucje społeczne i wspomagana przez państwo będzie jednym z pierwszych etapów zwalczania prostytucji i handlu żywym towarem.

Jednakże i nasze ustawodawstwo nie może pominąć tej ważnej sprawy.

Cały szereg ustaw z dziedziny opieki społecznej musi wejść w życie, ażeby skutecznie prowadzić akcję uzdrowienia naszych stosunków moralnych: Musimy stworzyć ustawę opieki nad dziećmi opuszczonymi, uzupełnić opiekę nad dziećmi nieślubnymi, przyspieszyć ustawę o zwalczaniu handlu kobietami i dziećmi, już opracowaną przez Min. Sprawiedliwości, znowelizować kodeksy karne przez zwiększenie sankcyj karnych dla handlarzy żywym towarem, podciągnąć stręczycielstwo do nierządu.

Brak nam ustawy o walce z pornografią, tem pierwszym źródłem zepsucia młodzieży, która dać nam winna możliwość definicji pojęcia pornografii, dotąd bowiem pojęcia te są tak sprzeczne, tak nieuchwy-

ne, że walka z nią jest trudna, bezcelowa nawet.

W Warszawie od roku istnieje wprawdzie Komitet do zwalczania handlu kobietami i dziećmi, lecz wobec braku zrozumienia doniosłych jego zadań, zainteresowanie tą akcją jest minimalne, a wszak żadne z państw europejskich, z wyjątkiem może Rosji Sowieckiej, nie było i nie jest tak zagrożone tą straszną plagą, jak nasza Rzeczpospolita która przed wojną niestety była głównym rynkiem, dostarczającym żywego materiału dla innych państw, nie tylko na kontynencie, ale dla Ameryki i Dalekiego Wschodu. Brak zainteresowania tą sprawą, zupełny brak środków, niedostateczne ustawodawstwo, oto przyczyny dla których jak dotąd wysiłki Komitetu są walką z wiatrakami. Ostatni kongres międzynarodowy w Gracu, we wrześniu b. r. wskazał nowe środki działania, uchwały jakie tam

zapadły w znacznej mierze przyczynią się do skuteczniejszej akcji, zniewolą rządy państw, biorących udział w kongresie do przedsięwzięcia energicznych środków, w myśl zawartych międzynarodowych konwencji zwalczania handlu kobietami i dziećmi. Polska, która konwencje te ratyfikowała, nie zostanie w tyle, Rząd, a przede wszystkim Min. Spraw Wewnętrznych, wykazały dużo zrozumienia tej sprawy.

Komitet cieszy się poparciem organów rządowych, należy tylko pobudzić społeczeństwo do współdziałania we wszystkich wyżej wymienionych dziedzinach pracy, a wspólnym wysiłkiem stworzymy jedną ideologię, zmierzającą do sanacji naszych smutnych stosunków, do podniesienia wysoko sztanu godności ludzkiej, pod hasłem odrodzenia moralnego narodów.

M. Holder-Eggerowa

Z dziejów ruchu kobiecego na Górnym Śląsku

...Będzie wielka wojna koło Raciborza, krew się tak poleje, jak rzeka do morza...

(z piosenki powst.)

W czasie wojny praca kobiet na G. Śląsku uległa znacznej zmianie. Na pozór zacichła, rozprzęgła się, przerwała, w rzeczywistości — poszła w głąb i w miarę rozwijających się wydarzeń nabierała zaczęła cech wyraźnej, narodowej roboty.

Jeżeli trudno było powynajdywać materiały dla skreślenia początków ruchu kobiecego na G. Śląsku, to jeszcze jest trudniej zgromadzić dane do czasów wojny, powstań śląskich i plebiscytu. Dane te są niby pod ręką, żyją w pamięci — jakże jeszcze świeżej — osób, które w tym czasie działały, ale zbyt właśnie są nas bliskie, by mogły już stać się dokumentami. Co zaś do dokumentów, to nikt jeszcze ich dotąd nie zgromadził i nie uporządkował, a w tych niespokojnych czasach, w jakich powstawały, wiele ich poginęło. Trzeba więc narazie zadowolnić się kreśleniem obrazów ogólnych, w oczekiwaniu mającej się niedługo pojawić księgi jubileuszowej „Związku Towarzystw Polek“ i dal-

szych, miejmy nadzieję, źródłowych i wyczerpujących prac o ruchu polskim na G. Śląsku,

„Związek Polek“, a właściwie „Związek Towarzystw Kobięcych na G. Śląsku“ został założony dnia 29 marca 1914 r. w Bytomiu, w celu połączenia poszczególnych towarzystw w jedną organizację, i dopomagania im w działalności. Zanim uporano się ze statutem i wzięto do pracy, wybuchła wojna i wzmożony terror niemiecki położył kres wszelkiej zorganizowanej robocie społecznej na długie czasy. Z samych jednak zamierzeń Związku i fragmentu pracy nad dziećmi, wykonanego przez lato r. 1914 widać, że zadania, stawiane sobie obecnie przez Towarzystwa Kobiet, różniły się od zadań doby tylko co minionej. Zaczęło chodzić o utrzymanie i znaczenie polskość członkiń i ich dzieci. Zwrócono uwagę na rosnące pokolenia, na zarybek, a to jest już cechą roboty na dalszą metę. Przez całe lato 1914 r. umówiona za zapłatą wykwalifikowana ochroniarka objeżdżała w ustalonej z góry kolei Towarzystwa Kobiet w różnych miejscowościach G. Śląska i organizowała wśród dzieci gry, śpiewy i zabawy

polskie. Matki odnosiły się do tych poczynań naogół bardzo życzliwie, opowiadając z zadowoleniem, że wszystkie podwórka rozbrzmiewają teraz polską mową, a niektóre z nich, jak np. niejaka Maniurowa, dopomagały same w pracy nad dziećmi. Związek wszedł jednocześnie w porozumienie z Towarzystwem Szerzenia Elementarzy i rozdawał członkiniom elementarze, aby mogły dzieci swe uczyć czytać i pisać po polsku. Zabrano się do ułożenia planu egzaminów dla dzieci, z obdarowywaniem najpilniejszych. Gdy wybuchła wojna i prace Związku ustały, rozpoczęła się wśród członkiń samorzutna akcja, zmierzająca ku ulżeniu doli ofiarom wojny i żołnierzowi. W Bytomiu kobiety schodziły się dwa razy tygodniowo w domu zebrania zw. „Ulu“ i szyły. Szyjąc, czytały i śpiewały, a całe skrzynie bielizny i ubrań szły potem do Kongresówki dla polskich żołnierzy i dla biedaków. Trzeba tu wspomnieć o głównej organizatorce tych zebrań, panie Znińskiej która i dotąd ciągle nie ustaje w pracy społecznej dla Śląska. Długie lata prowadziła kółka śpiewacze ludowe, potem zajęła się czytelniami ludowymi i zajmuje się

niemi nadal, pomimo pracy zawodowej w banku.

Z czasu tych zebrań w „Ulu“ pochodzi piękny zbiór lalek w strojach śląskich, będący ozdobą Muzeum Mielżyńskich w Poznaniu. Jedyne znacznym wystąpieniem publicznym z okresu wielkiej wojny był Bazar z loterią, urządzone staraniem członkiń „Związku“, w Bytomiu w r. 1916-ym na rzecz bezdomnych dzieci w Polsce. Zrezygnowała, jak powiadam „Związek“ jako taki siedział cicho, ale jego członkinie, podkaształone już w czasie przedwojennej lojalnej i bardzo pokojowej doby rosły sercem i duchem, szykując się do gorętszych wystąpień na arenie życia publicznego. Jedną z ich przewodniczek i to najdzielniejszych stała się w tym czasie panna Janina Omańkowska, obecna posłanka na Sejm śląski, szanowna i znana postacią na tle życia górnośląskiego.

Panna Omańkowska przybyła na Śląsk z Poznania w r. 1903-im a więc w samych początkach istnienia Towarzystwa Kobiet w Bytomiu. Przybyła, poprzedzona sławą odcierpianej za bezpłatne nauczenie jęz. polskiego kary więziennej w Poznaniu, znana już jako organizatorka wieców, jako działaczka społeczna. Z chwilą jej wejścia do Towarzystwa, ruch w nim się ożywił, a od r. 1916-ego, gdy została przewodniczącą „Związku“ organizacja zyskała w niej siłę niepospolitą. Skromna ta, cicha i niechętnie mówiąca o sobie kobieta pojęła przedewszystkiem, że niezasadzoną zarozumiałością jest wynoszenie swojej dzielnicy nad inne, że, skoro polem jej działania ma być Górny Śląsk, to ten Górny Śląsk stać się musi także jej ściślejszą ojczyzną. W ten sposób pojawiający swój stosunek do nowej placówki, stanęła do pracy z zapałem, płynącym z umiłowania i 22 lata najrzetelniejszego, codziennego trudu oddała już Śląskowi. Od chwili swego przybycia została przewodniczącą Towarzystwa Kobiet, od r. 1916-ego przewodniczącą „Związku“ i na tem stanowisku pozostaje. Jednocześnie posłuje na sejm śląski, a chociaż jej kadencja upływa już w grudniu roku bież. nie będzie jeszcze mogła zapewne złożyć mandatu. Jej praca w Towarzystwie Kobiet zaznaczyła się odrazu rozmachem i pomysłowością. W okresie niewoli wszystko, co wybiegało choć trochę poza granice „dozwolonego“, wszystko, co mogło pobudzić członkinie Towarzystwa by czuły się Polkami, jej było inicjatywą. Ona stała się właściwym spiritus movens Towa-

rzystw, a gdy z wybuchem rewolucji w Niemczech i zawieszeniem broni (listopad r. 1918) nastąpiła większa wolność słowa i zebrań — jej spokojne i przemyślane, a zawsze ważne słowo rozbrzmiewać poczęło na posiedzeniach, zbiorcach i wiecach. 20-go listopada 1918 r. odbył się w Bytomiu pierwszy po wojnie wiec kobiet Polek i po czterech latach przymusowej bezczynności odżył ruch w Towarzystwach. We wszystkich powiatach Górnego Śląska, nawet w Prudnickim i Kluczborskim, które uważano za najbardziej niemieczone, zaczęły powstawać samorzutnie Towarzystwa Polek, szerząc już jawnie i gorliwie polskość na G. Śląsku. Po raz pierwszy w tym czasie wzięły Ślązaczki czynny udział w wyborach do rad gminnych, głosując na wspólną listę polską, a przyczyniwszy się do jej zwycięstwa, zaprzeczyły tem samem szerzonemu przez Niemców przekonaniu, że na Śląsku niema Polaków. Od tej chwili kobiety mają swoje miejsce w składzie rad gminnych i obywatelskich i nie siedzą w nich bynajmniej bezczynnie.

Wróćmy jednak do chronologii. Na wiecu bytomskim z r. 1918 go została uchwalona wspólna i jednolita nazwa dla Towarzystw Kobiet na G. Śląsku. Są one odąd ujęte w Związek Towarzystw Polek, mają jednakowe statuty i hasło „Bóg Rodzina—Ojczyzna“. To hasło dało nazwę wydawanej po wojnie i w czasie plebiscytu przez Omańkowską gazecie dla Zarządów Towarzystw Polek. Obecnie wychodzi pismo „Głos Polek“ jako organ Związku, liczy ono już czwarty rok istnienia i ma to samo hasło na każdym numerze.

Nadeszły teraz czasy gorące. Czasy powstań i plebiscytu, lata 1919-y, 20-y i 21-y! Kobieta śląska jawnie i gorąco stanęła u boku śląskiego powstańca. Organizacja powstańcza weszła w ściślejszy stosunek ze Związkiem Towarzystw Polek. Wspomagane w pracach organizacyjnych przez Koło Polek z Warszawy, przez zrzeszenia studentek lwowskich wzięły się członkinie Towarzystw Polek do służby pomocniczej dla wojsk powstańczych. Stanęły przy kotle w kuchniach i gospodach żołnierskich, poszły na front opatrywać rannych, ruszyły gromadnie w kadry Czerwonego Krzyża. Nikt tego nie zapisał i nie zebrał z ust świadków, która z dzielnych Ślązaczek i ile razy przeniosła broń i kule w fartuchu swoim zuchom; ile razy przekradła się z narażeniem życia przez front nieprzyjacielski z informacjami o ruchach wroga. Ilu powstańcom ułatwiła przedostanie

się przez kordon, gdy ścigani przez Niemców z sił opadali, a ilu ukryła bezpiecznie we własnym domu! Wiadomo jednak, że wstęgi powstańcze z waleczności otrzymały między wielu innymi:

Marja Siwowa z Wielkich Piekar.

Modłowa ze Świętochłowic, Marja Karolewiczowa z Mysłowic (przewodnicząca tamtejszego Towarzystwa).

Wężykowska i Podleśna z Rydułtów w powiecie rybnickim.

Zimnowa z Chwałowic w powiecie rybnickim.

Towarzystwo zaś Polek z Chwałowic zostało obdarzone dekoracją sztandaru za zasługi powstańcze.

Miejmy nadzieję, że w księdze jubileuszowej Towarzystw Polek zasługi i imiona kobiet, działających w czasie powstań śląskich zostaną szczegółowo wymienione. Pamiętajmy również, że walcząca była tu nie inteligentka — jak to przeważnie bywało w innych naszych dzielnicach, ale kobieta z ludu, prosta robotnica czy włościanka — tak jak walczącym — chłop i robotnik. Wtedy zrozumieją należycie wielką wagę i groźną, żywiołową piękność powstań górnośląskich, wtedy też pojmiemy do nieskończoności niewieściej w Towarzystwach Polek na G. Śląsku Cóż, że przewodnikami byli prawie wyłącznie ludzie z innych dzielnic? Cóż znaczyłaby ich praca, gdyby materiał ludzki nie był tak czuły na hasła narodowe, nie słyszał głosu wolności, nie chciał zrzucić nienawistnego jarzma?!..

Gdy stało się wiadomem, że z rachub politycznych, a niemieckich poduszceń losy Śląska mają być rozstrzygnięte za pomocą plebiscytu, rozpoczęła się na G. Śląsku tzw. praca plebiscytowa. Nie mam zamiaru ani możliwości, podawania tu całkowitego jej przebiegu. Wiadomo powszechnie że na czas od lutego r. 1920-go do marca r. 1921-go Śląsk Górny zamienił się w jeden wrzący kocioł, w którym, razem z najwznioślejszymi pracami kłębiły się intrygi i agitacje, w którym — obok ludzi idei i prawdy działały, figury niepewne lub wprost łajdackie.

Wiadomo, że w czasie pracy plebiscytowej obu stronom szło przedewszystkiem o ilość głosów, a jak się te głosy zdobywało — o to nikt nie pytał. Wszystkie sposoby były dobre. Zdaje się też, że mało o czem napisano i powiedziano tyle kłamstw i bajek jak o plebiscycie. Nie wdając się więc w ocenę ruchu plebiscytowego na G. Śląsku, zobaczmy, jak wyglądała w tym czasie działalność Towarzystw Kobięcych.

W chwili rozpoczęcia pracy plebiscytowej Związek liczył około 40 Towarzystw.

W ciągu roku plebiscytowej liczba ta wzrosła do 400. Oczywiście większość ich zaliczyć należy do efemeryd plebiscytowych, nie było bowiem ani dość sił wykwalifikowanych, ani dość pieniędzy, aby je utrzymać. Ostało się najwyżej sto z tej liczby. Ale ten gorący pęd organizacyjny, jaki ogarnął Związek, wyraził się nie tylko w tworzeniu nowych towarzystw. To były głównie punkty oparcia dla agtacji, największą zaś pracą członków stało się objeżdżanie miast i wsi górnośląskich z żywym słowem o Polsce. Nie bacząc na trudy uciążliwych podróży, na niebezpieczeństwa osobiste, na znikomy nieraz skutek roboty — dzielne kobiety nie ustawały w agitacji.

Wyrobiły się wkrótce specjalne typy działaczek, jak np. agitatorki kolejowe, uorawiające propagandę w pociągach i oddające sprawę polskiej ogromne usługi (wśród nich odznaczyła się niejaką Siwowa z Szarlej-), albo handlarki domowe, uprawiające tzw. handel domokrężny i pod pozorem sprzedaży zawiązujące stosunki ze społeczeństwem śląskim. Sły kierownicze zajęły się organizowaniem wieców i pogadanek, których w tym roku plebiscytowym odbyły się setki.

Mówiono o Polsce, urządzano przedstawienia amatorskie sztuk narodowych, zakładano ochronki dla dziatwy przedszkolnej, kursy pisania i czytania dla młodzieży i starszych. Koncerty, zabawy ludowe i wycieczki do Krakowa, Wieliczki, Częstochowy i Zakopanego były na porządku dziennym. Jako niestrudzona mówczyni i przedowniczka w tej pracy wysunęła się tu znowu p. Janina Omańkowska.

Życie jej płynęło w wagonie i na wózku. Nie wypuszczając z rąk naczelnego stanowiska przewodniczącej Związku, wypełniając uciążliwe i częste obowiązki reprezentacji w naradach i obchodach, potrafiła jednocześnie docierać osobście do najbardziej zapadłych kątów oddalonych powiatów-głupczyckiego, czy kozielskiego i tam żywym i gorącym, a mądrym słowem zjednywać coraz nowych adeptów sprawy polskiej. Jest to też jedna z tych nielicznych osób, które posiadły prawdziwą znajomość duszy ludu śląskiego i jeżeli ona powiada, że do akcji Związku ludzie garnęli się chętnie, że kobiety po wsiach i miasteczkach same agitowały za zakładaniem nowych Towarzystw, zachęcały do oddawania głosów na Polskę, że często wybuchał szcze-

ry i ogromny zapal do sprawy polskiej — to można jej wierzyć na słowo. — Nie wszystkie też te mówczynie wiecowe były improwizatorkami, w czasie bowiem przed plebiscytowym 40 członkiń Towarzystw wyjechało na zorganizowany bezpłatnie przez Związek Obrony Kresów Zachodnich kurs mówczyń do Krakowa.

Wśród wszystkich tych prac wspomnieć należy jeszcze i o kursach dla ochroniarek. Te kursy dwumiesięczne dla dziewcząt wiejskich z G. Śląska, odbywały się również w Krakowie, a ich absolwentki, wróciwszy na Śląsk organizowały ochronki i urządały zabawy dziecinne przy każdym prawie Towarzystwie Polek.

Szła tu praca na wielką skalę i z rozmachem, a najlepiej w okręgach przemysłowych. Wiele ochroniarek poszło potem na kursy dla nauczycielskich sił pomocniczych, organizowane przez wydział oświatowy przy Komisarjacie plebiscytowym i obecnie są nauczycielkami na Śląsku. Zapal tych dziewcząt jest zaiste godny podziwu, miały one poważne trudności językowe i uczyły się zapamiętałe. Teraz za to siedzi sobie w Nowym Bieruniu, taka Blaszczykówna, a w Podlesiu Julja Marniok, a inne w innych wsiach i uczą z tym samym zapałem śląskie „dzieciszki“ pięknej polskiej mowy.

Sekcje Towarzystw Kobięcych przy Komisarjacie plebiscytowym prowadziła panna Stęślicka (obecnie poseł na Sejm Warsz.). Okręg Katowicki miała poseł Szymbkowiakówna. O obu tych młodych działaczkach będzie jeszcze mowa.

Na życzenie i skutkiem starań Związku Polek istnieje obecnie osobny referat Oświaty pozaszkolnej przy Województwie — dalszy ciąg ideowy kursów ochroniarskich. Świetna manifestacją pracy kobiet na G. Śląsku i silnym bardzo momentem agitacyjnym był Zjazd zarządów wszystkich Towarzystw Polek z G. Śląska w Gliwicach, pierwszy Sejmik Kobiet w Polsce. Odbył się on 26 go stycznia 1921 r. przy współdziałaniu przedstawicieli 40 tysięcy zorganizowanych niewiast. Przez trzy dni w „rdzennie niemieckich“ Gliwicach obradowały kobiety polskie, przyjmowane przez miasto z entuzjazmem, przechodzącym wszelkie oczekiwania.

Uczestniczki Sejmiku nie mogły dotąd mówić spokojnie o wrażeniu, jakie wywarł ten tysiączny tłum przedstawicielek organizacji, idący wśród zapału swoich, a wrogich okrzyków nieprzyjaciół, w barwnych śląskich strojach po ulicach Gliwic. Te nabożeństwa w przepelnionych kościołach, te pieśni polskie, obra-

dy, płomienne mowy posła Korfanego, poświęcenie sztanaru ofiarowanego „siostronom Górnoślączkom“ przez Wielkopolkanki, publiczna przysięga, „Kościszko pod Racławicami“ w teatrze — wszystko składało się na obraz niezapomniany.

Z Warszawy, z Poznania, z Krakowa, ze Lwowa z Wilna — zjechały się przedstawicielki organizacji kobięcych, by stanąć w jednym szeregu z siostrami z Górnośląska. Ludność Gliwic wprost rozrywała sobie gości na kwatery i dosłownie nosiła ich na rękach. „Miałymy kiecki poklupane, a trzewiki popucowane fajnie“, chwaliły się potem kobieiny, wspominając gościnność Gliwiczank. A odcinały się Niemcom, a puszyły swoja polskością! Wiele było w tym Sejmiku pompy i parady plebiscytowej, wiele rzeczy, zrobionych na efekt w ostatniej chwili — ale wrażenie, ale wzruszenie pozostało i zrobiło swoje. Sejmik gliwicki nie zatrze się nigdy w pamięci pokolenia, które go przeżyło.

Jak widać z krótkiego powyższego szkicu, praca kobiet śląskich w okresie wojny, powstań i plebiscytu rozrosła się bujnie, zmęźniała i jasno wytknęła sobie drogi i cele.

Otrzymała chrzest polskości. Nie sprawiedliwy wyrok genewski, oddający całe rdzennie polskie okręgi Niemcom, dotknął i oburzył społeczeństwo polskie. Związek Towarzystw Polek odczuł cios ten bardzo boleśnie: centrala Towarzystw, Bytom, miał zostać poza kordonem, przed Związkiem staręło zagadnienie podziału, pozostawienia znacznej części zorganizowanych placówek w rękach wroga. Dn. 3-go lutego 1922 r. odbyło się ostatnie pełne zebranie Związku. Panna Omańkowska postawiła wniosek rozdziału Związku na dwie części, zgodnie z przysługą granicą. Po wysłuchaniu sprawozdań z działalności poszczególnych okręgów, postanowiono: zarząd, fundusze i sztandar zostawić związkowi po stronie niemieckiej i uchwalono rezolucję, stwierdzającą polskosc, bezpartyjność i nierozdzielność Związku Towarzystw Polek na G. Śląsku.

Pomimo całej doniosłości ciosu rozstawano się pod wrażeniem, że rozdział ten jest chwilowy, a wyrazem nastroju zebranych była odśpiewana na zakończenie „Rota“ Konopnickiej.

Nastąpiły teraz czasy likwidacji plebiscytu, rugów inteligencji polskiej ze Śląska niemieckiego, organizacji po stronie polskiej. W Bytomiu i części Śląska, oddanego Niemcom, robota Związku ustała zupełnie. Punkt ciężkości przeniósł się na Województwo.

3)

DWAJ AMERYKANIE

Nie wiem, czy H. Ford byłby zadowolony, gdyby wiedział, że zestawiono go z B. T. Washingtonem.

Trzeba bowiem wiedzieć, że mimo całego demokratyzmu i wolności, mimo to, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej pierwsze wystąpiły z hasłem zniesienia niewolnictwa, a nawet dużo krwi przelały w walce ze St. Południowem o wyzwolenie Murzynów — do dnia dzisiejszego istnieją tam bardzo silne uprzedzenia przeciw tej rasie. Zarzuca się Murzynom tępotę umysłu, brak samodzielności, lenistwo, ale w gruncie rzeczy są to przedewszystkiem uprzedzenia dla innej rasy, dla innej barwy skóry, a zwłaszcza lekceważenie i pogarda dla niedwunych niewolników. Zresztą konkurencyjna walka o byt, w bezpośrednim zetknięciu się dwu ras gra tu także nie małą rolę. Nietylko wojownicze „Ku—Klux—Klany“, ale i sfery bardziej umiarkowane odnoszą się wciąż jeszcze do Murzynów w sposób conajmniej nieprzyjazny.

A jednak przyouszczam, że właśnie Ford, ten człowiek pracy, przejęty ideą sprawiedliwości i służby społecznej, stoi ponad temi uprzedzeniami.

Zresztą jakkolwiek się te sprawy miały, w niczem by to nie zmieniło faktu, że ci dwaj Amerykanie, choć różni rasą i barwą skóry, najbliżej siebie stoją ideowo, że przejęci tym samym duchem służby społecznej, do tych samych dochodzą rezultatów.

Karjera życiowa Booker T. Washingtona niezwykłością przewyższa jeszcze bieg życia Forda

Jego autobiografię p. t. „Wyzwolenie“ czyta się, jak jakąś dziwną, fantastyczną bajkę. Ale poza momentami bajkowej egzotyczności bije z niej taka moc charakteru i energii, takie ukochanie ludzi i pracy, tyle genialności w pomysłach, a wytrwałości w ich przeprowadzaniu, że ulegamy urokowi tej książki w sposób zupełnie niezwykły. Pobudza ona naszą fantazję, ale w wyższym jeszcze stopniu działa na nasz charakter i na naszą wolę.

„Przyszedłem na świat w niewoli — powiada Booker — na plantacji u hrabstwa Franklin, w Wirginji. Nie wiem dokładnie daty (prawdopodobnie r. 1858 albo 1859.) ani miejsca mego urodzenia, ale w każdym razie to nie ulega wątpli-

wości, że gdzieś i kiedyś się urodziłem“.

Oto egzotyczny początek tego niezwykłego życiorysu i jeszcze bardziej niezwykłego człowieka.

Lata dziecięce upłynęły mu na plantacji, gdzie matka jego była sprzedana do niewoli, w największej, jaką sobie tylko można wyobrazić, nędzy materialnej i duchowej. To też podziw ogarnia dla tej boskiej mocy ducha ludzkiego, który wśród najfatalniejszych warunków samorzutnie się budzi i rozwija w tej młodej duszyczce, ukazując nam w najpierwotniejszej swej postaci cudne kielki ludzkiego rozumu, dobroci serca i siły charakteru.

Nie będę snuła tej przedziwnej opowieści, której urok tylko ze słów jego własnych w całej pełni poznać można. Brak mi tej prostoty i głębi, a przedewszystkiem brak tego czaru, który słowem tylko własne przeżycia nadać mogą.

Potężne pragnienie światła, nieświadome ukochanie pracy i ludzi wydobywają z tego dziecka niewolnicy, pozostawionego własnym myślom i własnej nędzy, zdumiewającą pomysłowość, energję i wytrwałość.

Kiedy po zniesieniu niewolnictwa rodzina jego znalazła się w ciężkim położeniu, mały Booker musi ciężko pracować na utrzymanie; najpierw w warzelni soli, a potem w kopalni węgla. Ale to nie powstrzymuje w nim gojącego pragnienia zdobycia wiedzy.

Dowiaduje się o świeżo otworzonych kursach wieczornych dla Murzynów. Zapisuje się na ten kurs i po całodziennej, wyczerpującej siły dziecka, pracy spieszy do upragnionej szkoły.

Ze wzruszającą skrucą przyznaje się po latach, że aby zdążyć do odległej szkoły, dopuszczał się codziennie „brzydkiego czynu“, a mianowicie posuwał naprzód wskazówki zegara fabrycznego. Z rozczulającą prostotą opowiada, jak to zaskoczony w szkole i zawstydzony brakiem nazwiska, wstał i bez zająknięcia wygłosił: „Booker T. Washington“.

Trudno w takim szkicu omówić wszystkie trudności, jakie piętrzyły się na drodze tego wydziedziczonego dziecka. Trudno przejść wszystkie cudowne etapy rozwoju tej duszy niezwyklej.

Dowiedziawszy się przypadkiem o powstaniu w Hampton seminar-

jum dla Murzynów, postanawia za wszelką cenę tam się dostać. Chce zostać nauczycielem, aby cały oddać się pracy dla dźwignięcia swojej rasy.

Pochód do odległego o 500 mil. ang. Hamptonu, przerywany etapami pracy zarobkowej dla zdobycia po drodze potrzebnych pieniędzy na koszty podróży, trwał dwa lata i należy do najwspanialszych triumfów ludzkiej wytrwałości.

„Moja próba zamiatania sali utarowała mi drogę do ukończenia nauk w Hampton. Miss Mary F. Mackie, nadzorczyńni, dała mi miejsce odźwiernego.“

Przyjąłem je jak najchętniej, bo mogłem w ten sposób opłacić szkołę moim zarobkiem“.

Zarabiając pracą, oddawaną zakładowi, na koszty utrzymania i nauki, Washington kończy w r. 1876. znakomitą szkołę w Hampton, z której prócz rzetelnej wiedzy i znajomości rzemiosł, wynosi wysoki poziom moralny i ideę założenia szkoły pracy.

Następne dwa lata spędza w rodzinnem Maldenie na przygotowaniu młodzieży murzyńskiej do szkoły w Hampton; poczem udaje się na kilka miesięcy do Washingtonu dla uzupełnienia studjów.

W rok później zostaje powołany do Hampton dla objęcia pracy nauczycielskiej, poświęcając misję cywilizacyjnej nad czerwonoskórymi Indianami. Rezultaty były świetne. Równocześnie uczy się dalej sam, pod kierunkiem specjalnych nauczycieli.

Wreszcie, w r. 1881. zostaje powołany do kierowania normalną szkołą dla Murzynów, jaką miano otworzyć w miasteczku Tuskegee. I tu dopiero zaczyna się właściwa praca, która wypełniła całe dalsze życie tego niepospolitego człowieka.

Opisać nieśmiertelne dzieło życia B. T. Washingtona, przechodzi ramy niniejszego artykułu.

Odsyłam Czytelników do dwóch ciekawych jego książek: „Wyzwolenie“ i „Szkoła pracy“ (niestety, jeszcze nie tłumaczona na język polski!)

Chcę tu tylko podkreślić, że Washington jest właściwym twórcą, dziś już tak rozpowszechnionego systemu „szkoły pracy“.

Poznawszy dobrze charakter i położenie swojej rasy, uznał, że połączenie nauki i pracy wytwórczej, jest najpilniejszą dla niej potrzebą cywilizacyjną. A zresztą, głęboka

intuicją genialnego pedagoga, odczuł, że jest to wogóle najlepsza metoda wychowania pełnego człowieka.

O powstaniu i rozwoju tej szkoły pisałam już kiedyś pokrótce w „Bluszczu“.

Zaczął naukę od naprawy—wespół z pierwszymi uczniami — zrujnowanego domostwa, które oddano mu na użytek szkoły. Potem przysła kolej na sporządzenie sprzętów domowych i szkolnych, na uprawę ogrodu i wydzierżawionego gruntu. I odtąd już stale, na tych samych zasadach: łączenia nauki teoretycznej z pracą przemysłowo-wytwórczą — rósł i rozwijał się, z roku na rok, ten najdziwniejszy z zakładów wychowawczych.

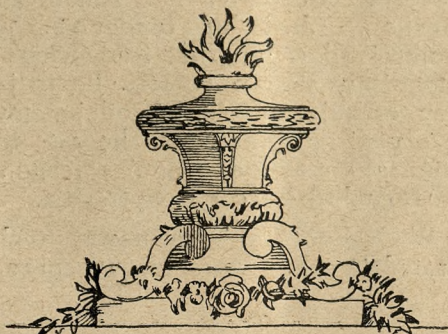
Aż po 30-tu kilku latach istnienia rozrósł się we wspaniałe „państwo szkolne“, obejmujące tysiące akrów ziemi własnej, uprawianej przez uczniów i uczennice zakładu, 70-kilka wspaniałych, własną ręką dźwigniętych, budynków mieszkalnych, szkolnych, bibliotek, pracowni, fabryk i t. p. Wszystko wykonane na podstawie teoretycznych

wykładów, wedle najnowszych wyników nauki i techniki.

W zakładzie tym żyją i kształcą się tysiące młodzieży obu płci — każdy w obranym dla siebie kierunku. Wszystkie możliwe działy pracy, zarówno naukowej, jak i praktycznej, wszystkie możliwe stopnie: od freblówki do uniwersytetu, są tam reprezentowane.

Uczniowie utrzymują się z własnych zarobków.

Wszystkie prace dla zakładu wykonywane są przez samych uczniów — prócz tego zakład produkuje fabrycznie cały szereg przedmiotów na eksport, dla ludności okolicznej.



Umierając, w r. 1916, mógł sobie powiedzieć Washington, że zrealizował ideę „szkoły pracy“, w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu.

Setki uczniów, którzy od szeregu lat, rok rocznie opuszczają zakład w Tuskegee, rozeszli się po całym kraju i pracą swoją dźwignęli poziom kulturalny i dobrobyt Murzynów amerykańskich.

Ta sama idea służby i użyteczności społecznej, która prowadziła Forda od fabryki i wytwórczości przemysłowej do potrzeby szkoły i wychowania robotników, nadała wspaniałej szkole Washingtona charakter fabryki i wielkiej wytwórni przemysłowej.

Sharmonizowanie pracy ducha z pracą ciała, zespolenie wzniesłego idealizmu z trzeźwą praktycznością, stało się hasłem obu tych znakomitych Amerykanów. Wszystko przemawia za tem, że po tej właśnie drodze potoczy się dalej rozwój kultury amerykańskiej, a w ślad za nią pójdzie prawdopodobnie rozwój całej ludzkości.

Koniec.

K. S.

NÁPOLI (PARTHÉNOPE)

(NEAPOL)

III

Ktoby chciał z charakteru Neapolitańczyka wyprowadzać wnioski o mieście, gruboby się omylił. Miasto ludzi leniwych olśniewa bogactwem i oszałamia ruchem. Jest to lenistwo artysty: niechęć do pracy zegarowej, podporządkowanej — a obok tego zdolność do rozwinienia szalonej działalności okazyjnej, motu proprio. Mówią, że w Neapolu niema wielkich fortun, miasto jest ubogie — ulica daje wręcz przeciwne wrażenie: hiperprodukcji, nadmiar u wszystkich rzeczy! Jeśli chcesz sobie kupić coś do zjedzenia, sprzęt gospodarski, lub przyrządy do pracy, możesz się nachodzić, nim znajdziesz. Ale na każdym kroku chwytają cię za oczy witryny magazynów zbytku, cacka najwyższych sztuki stosowanej, roztańczające wszelkie rodzaje wdzięku. Nie zawsze są drogiemi przez materiał — ale kosztowność nadało im piękno i pomysł, oryginalność linii i sharmonizowana barwność. Pajęczynowe szale, cudownie hafto-

Żeby nie wiem jak dokładnie wytartem, wywabionem było chrześcijaństwo z umysłowości i z uczuciowości, jest jednak jeszcze w spojrzeniu, w akcencie, na czole współczesnego człowieka coś, co jest odziedziczonym po adoracji, po nadprzyrodzonym. — U Neapolitańczyka — nic!

Nie mogę sobie wyobrazić, aby po któremkolwiek z tych czoł spłynęła była kiedy woda chrztu?!... Katolicyzm, chrześcijaństwo jest do nich przyczepiony tak jakoś, ni w pięć, ni w dziewięć!

Na ulicach wielka ilość księży... — czyżby i oni? — nie śmiem powiedzieć... Ten naprzykład taki wspaniały monsignor... twarz światła, epikurejska. Dużo bym dała za to, by się móc z nim rozmówić otwarcie... Reverendissime! — rzekłabym do niego... przyznaj się... ja nie zdradzę tajemnicy — ale ty dzisiaj — powiedz! — zarządziłeś czarną jałówkę z białą gwiazdką na czole na ołtarzu Dionizosa i krwią jej okropiłeś wiernych i spożyłeś wraz z nimi mięso, upieczone na węglach?!...

wane, koronki złote, naszyjnik i kolce Semiramidy i Kleopatry, wysokie, sztykretowe grzebienie Hiszpanek — korale białe jak mleko lub różowe jak centyfolja — bursztyny podobne do skamieniałego miodu i do słońca na jesiennych liściach. A ręczne lusterka w cyzelowanem srebrze — materje, ręcznie malowane i porcelany przezrocystsze od bibułki i okładki do książek rzeźbione z sztykretu! Można się gapić godzinami, takie to piękne. Ciemne jakieś nory bez okna, o drzwiach wiecznie otwartych, rywalizują z eleganckimi magazynami, na brudnej podłodze poniewierają się przeróżne śliczności! Towar wszystek trzymany na wierzchu, zawieszony ściany, zawalone wnętrza — kusi to oczy zdaleka do siebie, mało tego, goni za tobą! Nietylko pianole grają, spacerując na kółkach! W Neapolu wszystką jeździ. Jedzie szafa! — jedzie komoda! — z szafy wydobywają się jakieś napoje, z szuflad komody wysypuje się galanterja. Jedzie na kółkach małutkich z dwoma dyszelkami, jak karetka dla lal-

ki, bidon z mlekiem. Dwukołowe karry rozworzą mandarynki, pieczywa, koszyki, talerze i t. p. platforma, ubrana wielkimi jakimś piórami, czy liśćmi, które — naiwny pomysł, — dają platformie ogrodzenie i aleje. Rozwoziciel przygrywa na trąbce. Osły ryczą, tym osławionym rykiem, który ma dla mnie coś przygnębiającego, bo przecież jest to do złudzenia naśladowany ludzki szloch, wyostrzony do zwierzęcości bólu... Ten pan prowadzi za sobą gromadkę kóz posłusznych, które doł w wyniesioną mu butelkę. — Ile w tem wszystkim jest lokalnego kolorytu! co za brawurowe, rozpętane życie! Ruchliwa nasza Warszawa, wydaje się ślamazarna wobec Paryża. — Rzym przewyższa go zgłębliwością ulic, ale Neapol bierze rekord. — Pędzi na przelaj jedna fala dorożek, prześciga drugą, rozbija się o trzecią... Od pałacu Santa Lucia nadmorską ulicą Parthenope wyrusza na spacer pięćdziesiąt, siedemdziesiąt samochodów razem. Jest ich tu moc niezliczona — osoby średniego stanu posiadają własne auto, które można już kupić za dwadzieścia tysięcy lirów. Pierwsze tramwaje wyjeżdżają w zimie o piątej rano, ostatnie o północy. Dorożkarz przycisnięty taką konkurencją, spuścił cenę do bardzo niskiej taksy. Jest niesłychanie usłużny i przemysłny. Zawiezie cię wszędzie bez adresu, dać mu tylko jakieś takie wskazówki. I dlatego vetturino nie stoi. Dorożkami rozbija się tu wszystko, co żyje, jak niegdyś u nas w Warszawie — pieszo chodzi się chyba dla ligieny.

Oto spotykam kondukt: nikt nie idzie — same pojazdy! Korowód prowadzi trumna w swojej, imponujących rozmiarów, szklanej karocy, a za nią sznurem ciągną zwykłe karety, każda z ogromnym wiecem na pudle. Ani krzyża, ani chorągwi, ani śpiewów, kler jedzie w karetach. Nawiasem wspomnę, że tradycyjna trumna neapolitańska kształtem swoim zupełnie przypomina — te pudła, w które Egipcjanie składali mumje z odznaczonymi półzaokrągleniami na głowę i na ramiona. Ale widziałam już tutaj — to co i w Warszawie już się spotyka — zwyczajną czworograną szkatułę, w której również dobrze możnaby zamknąć balową toaletę, neseser podróżny, lub zdechłego pieska... Jest to tendencja, by śmierci odjąć jej grozę tradycyjną?.. Strzeżmy się to robić!... bo to ją depoetyzuje, a jeśli jej odejmiemy poetycki pathos... to będzie to coś tak miażdżąco poniżającego... że tego ludzkość nie wytrzyma...

W Neapolu niema nawet tych prawdziwych warsztatów pracy



i kapitału, jacyemi są wielkie fabryki. Morze dostarcza przemyślowi ryb, koralu i szylkretu. Wezuwjuś lawy. Winnice winna. To nie wiele! A tu wre takie życie, jak gdyby tutaj mieściła się giełda paryska z generalicją wszystkich Rotschildów, jak gdyby tutaj parlament paryski kuł politykę narodów, tu był centr handlu wszechświatowego i produkcji Londynu i New Yorku?! Na niektórych ulicach, takich jak Via Toledo, tętno życia, ani na jotę nie zwalnia w ciągu całej nocy. — W święta wszystkie magazyny są otwarte, niektóre tylko zamykają się po obiedzie. I są otwarte wszystkie sklepy co dzień do godziny siódmej, spożywcze do dziewiętej wieczorem. Żadne miasto nie daje pojęcia o tem kotłowaniu się, jakie przedstawia ulca Neapolu. Cudzoziemca, który po raz pierwszy wpadł w te wiry ulczne, ogarnia przerażenie. Ulicą tak wąską, jak np. nasza Warecka, ciągną dwa nieprzerwane szeregi tramwajów, w tę i tamtą stronę. — Chodników niema! — Pomiedzy wagony wpadają jeden za drugim automobile z krótką pobudką na trąbie, co robi wrażenie porykiwania jakichś szukających się w puszczy potworów — wtaczają się ze stękiem i gruchotem olbrzymie autobusy, z przerażającym trzaskiem i łoskotem przelatuje motocykletka, jak kurjer pana Belzebuba, śmigają bezszeleśnie rowery, niby jakieś przedpotopowe libelle, o stałowych, okrągłych skrzydłach... I wśród tego wszystkiego chodzi piesza publiczność!

(c. d. n.)

Marja Grossek-Korycka.

AFORYZMY I PARADOKSY

Polacy dzielą się na dwie kategorie: jedni eksploatują Polskę bez skrupułów, drudzy — są przez nią do ostatka eksploatowani.

Zagadnienie nieśmiertelności duszy nabiera dla nas aktualności dopiero wtedy, gdy zaczynają umierać ludzie z naszego pokolenia.

K. SCH.

Namiętności nie są wołami, stworzonymi do jarzma i bata — to lwy, na które trzeba magicznego wzroku pogromcy.

Z. Z.

MARJA JEHANNE-WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadomości)

...Bleus ou noirs, tous aimés, tous beaux,
ouvert à quelque immense aurore
de l'autre côté des tombeaux

(Sully Prudhomme).

W S T Ę P

Jest to pieśń o Ojczyźnie, ale ani modna, Kornelowa, ani tem mniej niemodna, Juljuszowa pieśń. Rzecz górra w założeniu, arcyskrómna w wykonaniu. A właściwie nawet nie pieśń. Narracja o tem, jak z najkrwawszej formy braterstwa ludów, powstała Ojczyzna nasza, jak działała NIESWIADOMOŚĆ, bo świadomość z rozmysłu pomijam. Pisano już o tej świadomości przeszłych pokoleń polskich, tylokrotnie zbrojnie powstających. Pisano o świadomości narodowej współczesnego żołnierza polskiego, walczącego z orzełkiem Jagiellońskim na czepce. Ja piszę o NIESWIADOMOŚCI. Piszę o tem, czego nie wciągnie Historia świata w swoje rejestra, dlatego też nie kładę niczyjego imienia ani zewnątrz, ani wewnątrz kart niniejszych. Bohaterowie pozostają bez nazwiska.

ANTYFONA

1. Z IŁU SZCZODROBLIWOŚCI TWOJEJ WYRÓSŁ KWIAT PODOBNY SŁOŃCU: OJCZYZNO MOJA.
2. JAKO ŻNIWO TWOJEGO ROZPASANIA, WYLUSKWIŁO SIĘ ZIARNO NA CHLEB NASZ WŁASNY, POWSZEDNI, A POPRZEZ POWSZEDNIOŚĆ SWOJĄ ŚWIĘTY.
3. POD NIECZULEM NIEBEM, Z PIANY GNIEWU TWOJEGO WSTAŁA OJCZYZNA MOJA. Z DRŻĄCEM UWIELBIENIEM, W ZDŁAWIONEM KANIBALSTWIE MOJEM, KŁANIAM SIĘ TĘDY TOBIE W PAS, WOJNO, PANI ŁASKAWA, PANI SZCZODROBLIWA.
4. ŻYCIE JEDNOSTEK PRZECIEKAŁO STRUGĄ PRZEZ NIEMIŁOSIERNE PALCE TWOJE. ZGINEŁY BILJONY, TRYLJONY ISTNIEŃ, ABY POWSTAŁA MOJA OJCZYZNA.
5. NIECHAJ SPIĄ SPOKOJNIE W CIENIU SPEŁNIONEGO NIESWIADOMIE ZADANIA.

6. NIECH ŚPI SPOKOJNIE CZARNY ŻOŁNIERZ AFRYKI, TRZCINĄ CUKROWĄ I MIĘSEM BIAŁEGO KARMIONY ZA MŁODU, KTÓRY PADŁ TWARZĄ W CIENKI DOPŁYW MARNY, JAKBY Z NIEJ MIAŁ PIĆ NA WIEKI. NIE SŁYSZAŁ NAWET O MOJEJ OJCZYŹNIE, A ZA NIĄ ZGINAŁ.

Z podwiniętymi nogami, gotów do bitwy, której sygnał ma runąć lada sekunda, pisze szybko i koślawo, lichą francuszczyzną, do swoich braci w Senegal.

Tyle ważnych zleceń!! Losy wielkiej wojny zdają się od nich zależeć!!!

— Niech Mobusso przysłać dużo korzeni lukrecyowych, bo Kumba N'Diongo widział wypaść wszystkie swoje zęby odkąd nie mieć korzenie lukrecji Kumba N'Diongo posiadać wogóle tylko dwadzieścia siedem zębów, niech Mobusso nie dawać matce wszystkie pieniądze od N'Dionga, niech Mobusso dać raz pięć franków i inny raz pięć i jeszcze inny raz pięć i potem pięć i niech Mobusso przysłać

korzenie lukrecji bo Kumba N'Diongo wypaść reszta zębów...*

— Tel słuchaj Czekoladowe Cygarol przerywa towarzysz biały z szanów. Wnet się twój taniec rozpocznie. Gotuj nogi!

— Dlaczego być mój taniec, nie twój? pyta N'Diongo.

— Przecież to taniec ludożerców, miły synu krokodyla...

— Ja nie być syn krokodyla, mówi urażony Senegalczyk, ja być syn Rimbella Falla i ja nie jeść białego mięsa.

— A twój ojciec „jeść“?

— Ojciec może jeść.

— No widzisz i ani przypuszczasz, czarny kałamarzu, o ile on jest nam przez to bliższy od ciebie....

Złowrogi szum wiał przez puste pole, czaiły się wokół duchy niszczące, szemrała śmierć pacierzem smutku i grozy.

Nieswojo było, chłodno.

— Do kogo piszesz? pyta znowu wścibski biały.

— N'Diongo pisać do przyjaciela.

— Nie do żony? Nie masz żony, ani dzieci?

— Ja! oburza się Senegalczyk. N'Diongo bogaty przecież N'Diongo mieć cztery żony, a wszystkie sześć dzieci.

— Dżo synów.

— Sześć.

— Jakto? Ani jednej córki?

— Cztery.

— Więc dlaczego mówisz, gorylu, że masz „wszystkiego“ sześcioro dzieci?!

Machnął ręką N'Diongo.

— Córka się nie liczy.

Grzebią po kieszeniach, wyciągają pomięte bibułki, roztrzęsione papierosy i nawzajem się traktują tem śmieciem i ogniem.

— Dlaczego do żony nie pisesz, jeno do przyjaciela?—wraca Francuz do pierwotnego tematu.

Zachmurza się N'Diongo, zaciąga dymem i odpowiada niechętnie:

— Ty nikomu nie mówić, ale N'Diongo nie pisać do żony, bo żona niedawno puścić dziecko na ziemię i złamać dziecko.

— Złamać dziecko.....!? dziwi się Francuz i tłumii śmiech, który wobec ponurej miny Senegalczyka byłby conajmniej nie na miejscu.

— No, ale przecież nie wszystkie cztery żony złamały ci dziecko? ryzykuje po chwili.

— Tak. Ale, widzisz, tylko jedna musso, być dla N'Dionga musso od serca...

Poprzez komizm murzyńskiego opowiadania, napływają mnogie i odległe reminiscencje. Zaspiają się obaj i długą chwilę, milcząc, nadśledzują.

Czego? Tego, co bliskie i niezawodne jak amen w pacierzu, czy tego, co odbiegło od nich prawdopodobnie na zawsze? Lecz cisza drażni ich i nęka, zwłaszcza że jest nakazana. Gadulstwo białe i czarne zwycięża, toteż rozmowę wszczynają z powrotem.

— Ty wiesz, N'Diongo, że dziś pochowali kapitana Flersy? Rany goiły się niby pięknie, a nagle umarł.

— To bardzo dobrze, że on umrzeć.

— Co...?! zachnął się Francuz, jakby mu piorun trzasł przed nosem.

— Kapitan Flersy tchórz, więc dobrze, że umrzeć.

Francuz odchodzi od przytomności, prawie siny.

— Czyś ty zwarzował, smoło piekielna! Kto tchórz! Kapitan Flersy tchórz!?

Senegalczyk coś majstruje koło dogasającego papierosa i przytakuje z monumentalną powagą:

— Tak, kapitan Flersy.

— Żeby nie rozkazy, tobym ci tak skuł tę czarną mordę szympanią... jakto tchórz! kto?! dławi się żołnierz z bezradnej wściekłości. Przecież odbyłeś z nim kompanję w Marokku, gdzieście go czcili jak...

— To i cóż? pyta Murzyn z flegmą. W Marokku kapitan Flersy być bohater, być wielki wódz, tam iść i bić, a tu? Tu ledwo zobaczyć

na daki (Niemców) to stanąć i padać i kopać ziemię i chować się do dziur. Czy ty słyszeć kiedy, żeby się bohater chować do dziur przed nieprzyjacielem! Kapitan Flersy tchórz i dobrze zrobić, że umrzeć, choć umrzeć w igbie.¹⁾

Z niezmierną godnością spluwa Senegalczyk trzykrotnie, wyrażając tem niezłomność swoich przekonań i absolutną pogardę nieszczęsnemu kapitanowi.

Francuz przestaje zgrzytać zębami i wybucha nagłym śmiechem. Znosi się od śmiechu. N'Diongo, aczkolwiek tym śmiechem zaskoczony, tłumaczy sobie, że przekonał kompana. Śmieją się więc obaj długo i zgodnie, requiem bowiem ludzkie miewa rozmaite formy zewnętrzne.

Tymczasem fala ciszy marszczy się, drga — to drganie stopniuje się znacząco w uszach i sercach i jęczy cichy sygnał.

E n a v a n t!!!

Zrywają się nerwowo.

Kumba N'Diongo biegnie w czerwonym swoim turbanie — wielkie, kawowe źrenice błyszczą w wywracających się białkach — okopconą ręką ściska karabin, prześlicznie wyczyszczony, z uwązaną do rzemyka nikłową membraną od gramofonu.

Na piersiach jego podskakuje miarowo zielona umberka od lampy — cudny dar od białej musso ze szpitala, która ma włosy koloru kukurydzy, zęby jak ziarenka ryżu, a ręce tak miękkie i ciepłe, jak ach'o, nagrzane w słońcu. Na innym sznurku ponsowym, wisi kolczyk z koralu, oraz ułamany, celulojdowy haczyk do bucików i mosiężna profitka. To wszystko tańczy teraz i podskakuje na jego zadyszanej piersi, coraz żwawiej i rytmiczniej. Kumba N'Diongo przypada do ziemi, kiedy przypadają inni, czyni to jednak z nieukrywaną odrazą, choć karabiny maszynowe koszą i siekają w pień.

Z nim razem przypada także nikłowa membrana od gramofonu, zielona umberka od lampy, kolczyk z koralu i mosiężna profitka, wraz z celulojdowym haczykiem od bucików. N'Diongo dokłada starań, aby nie pognieść tych bezcennych sprzętów i ta obawa o skarby przyczynia się zapewne w znacznej mierze do straszliwej odrazy, z ja-

ką wypełnia rozkaz: padnij! Działają jednak oczywiście i honor rycerski, senegalski, nie zezwalający na krycie się przed wrogiem. Wogóle ta cała wojna europejska, z hańbiącym sztafżem szanów, podkopów, pełzań, równa się ustawicznemu polczkowaniu dla Negra, wychowanego w innych zgoła zasadach taktyki i etyki militarnej. Jakże tam pięknie w jego kraju się wrzeszczy, jakże się wali w bębny, w kastaniety, w piszczele pomordowanych, obcych wodzów: niech widzą wrogowie odwieczne, że ich się nikt nie boi — ale cóż robić?

Biegnie więc i pada, biegnie i pada. Przed nim o dwieście kroków, płynie zafrasowana rzeczka, błękitna, jak oczy białej musso ze szpitala. Niebo przygląda się w rzeczce ciekawie i tyle jest w niej niabieskości firmamentu, że aż płytki brzeg wydaje się chwilami niebieski. N'Diongo przypada i znów biegnie, ale przed samą modrością rzeczki, którą inni biorą lekko w pław, zadziwia się bez wyraźnej przyczyny, staje, wznosi okopcone ręce w za krótkich rękawach i nie zginając wcale kolan, pada twarzą do rzeczki.

Plusnęło zwyczajnie.

Czy człowiek pada w nią, czy kamień, woda pluszcze jednak.

Zatoczyła krąg świetlisty, perlisty, srebrzysty i jęła prędko, prędko, jak dobra gospodyni zmywać twarz N'Dionga, zdziwiona pewnie, że twarz ta jest tak czarna pod francuskim niebem. Wiotka wstęga wody przytem szarpała go łagodnie i zapobiegliwie:

— Wstawaj bratku! drudzy poszli już...

Cóż z tego, że drudzy poszli?

Kumba N'Diongo pił wodę i pił i nie przestawał pić.

Dookoła jego głowy ledwo zanurzonej, wypłynął cieniutki nimb ponsowy na drobnej fale. Może to sznurek, na którym uwieszona była umberka od lampy, haczyk celulojdowy i profitka mosiężna — a może krew?

Na wojnie wszystko możliwe, a on przecież nie słyszał sztyrczego wołania: „Chwała wam, Kabyle z Riffu, którzy zwalczacie Europę!!!“²⁾

Nie słyszał nigdy podobnych słów.

Więc pij truczną śmierci, czarny żołnierzu Afryki, pij za zdrowie mojej Ojczyzny! Nie słyszałeś nawet o Niej, a dla Nej giniesz w cichym plusku wody i j szcze cichszym pobrzęku dzieciennych amuletów,

¹⁾ Charakterystyka Murzyna wedle dzieł Piotra Daye, Alphonsa Seche, Piotra Boche etc. Igbe znaczy: pogarda.

²⁾ Michał Maresz: OAZA.

PAWEŁ WINIKOWIECKI

PANTOFELEK

4)

(Bajeczka prawdziwa).

I porwał się nagle jakby do ucieczki. Więc nic już nie powiedziała więcej Mamusia, jeno pochylała głowę jak zwykle, jak codzień.

— Warknęło kółko, stuknęła nóżka i rozbiegła się za nią igielka, wielkim znacząc ściegiem, i po grubych żołnierskich koszulach i po spodniach, i po czarnych, żałobnych sukniach i po czarnych woalach, bo bitwy na froncie były coraz częstsze, były coraz krwawsze...

I opuściła Mamusia jeszcze niżej głowę: pewnie, że nie chce, aby Synek jej był tchórzem i zdrajcą, jakżeby tego chciała, jakżeby to nawet być mogło?... Więc co? — pytała biegnącej wprost ku niej po czarnym kirze nóżki. — Więc co? I więc co, niby mur nieprzebyty, ciemny i głuchy, stanęło przed nią i potworne, nieugięte, rozkrzyżowało przed nią ramiona.

A Synek już tylko na chwilę wpadał do domu — coś nosił, przynosił, jakieś gilzy, naboje. Wreszcie wpadł raz z grubą żołnierską bielizną pod pachą i zawołał:

— Mamusiu! Żołnierski fasunek już dostałem. Może to ty właśnie szylaś tę koszulę, Mamusiu? — wołał, obejmując ją w pół radośnie. — Mamusiu, już dziś będę nocował w koszarach, mamy być w pogotowiu.

— Jakto? — zapytała Mamusia, a serce jej niby lodowata ścisnęła ręka — nie przyjdiesz już więcej do domu?

— Nie, pewnie nas jeszcze puszcza... zresztą, czy ja wiem... Nie, nie, jeszcze przyjdę, napewno przyjdę — dodał prędko, patrząc na Mamusię.

Jakoż przyszedł nazajutrz ostrzyżony, w szarem, żołnierskiem ubraniu i w żołnierskich, grubych butach, których łoskotem napelnił całą izbę. Ręce Mamusi upuściły robotę i lodem oblało się serce, ale umęczone oczy nie zapłakały i pochylone piersi nie załkały. Spojrzała Mamusia na buty synowe, które głucho stuknęły po izdebce, i zmartwiało jej usta spytała:

— Jakże ty, Synku, w takich grubych, ciężkich butach będziesz chodził?

— Ależ Mamusiu — odparł Synek, wysoko podnosząc nogę — właśnie to są prawdziwe żołnier-

skie buty. Jakżeby miał na wojnę iść? w lekkich kamaszykach, albo może w tym pantofelku, co go w kufierku chowasz? Widzisz, Mamusiu dodał, takiego buta to już nie skrzywię ani na prawej, ani na lewej nodze.

— Synek chodził, tupał, żartował, ale serce Mamusi mówiło, że nie z tem tu przyszedł, a to z czem przyszedł, ciężko mu było powiedzieć. Więc sama mu dopomogła: wstała od maszyny i cicho zapytała:

— Więc już dziś idziecie?

— Tak — odrzekł Synek i oczy spuścił ku ziemi.

— Coby ci więc dać, synku, na drogę — zakrzętała się Mamusia. — Może bielizny? Może sucharów? Może szynki? Pieniędzy? Ach, prawda, pieniądze potrzeba...

I otworzyła Mamusia kuferek, a w nim niebieskie w gwiazdki pudełko, ale pieniędzy w niem było tak mało, że zaledwie w bramie przebrzmiały synowe kroki, a powstać jego za pierwszym znikła węglem, już —

...warknęło kółko i stuknęła nóżka i rozbiegła się po żołnierskich koszulach i po spodniach, i po szpitalnych płaszczach, po fartuchach i po czerwonych na nich krzyżach długo — długo, aż do rana, bo na front pieniądze też posłać można...

Zapisała sobie Mamusia numer kompanji, bataljonu, pułku i do niebieskiego schowała to pudełeczka. A po tygodniu wysłała Mamusia wszystkie zarobione pieniądze, bo jej samej nic przecież nie było trzeba,

Wysłała Mamusia pieniądze i na list czekała. Listu nie było, ale mamusia znów składała do niebieskiego w gwiazdki pudełka pieniądze i wciąż listu czekała. A nie doczekawszy się, słuchała wszystkiego, co o wojnie mówiono i w sklepiku i na ulicy, i co dobra opowiadała sąsiadka, i co w kurjerku, a listu nie było i nie było...

I znów wysłała Mamusia pieniądze i czekała listu. Może je kto odbiera, albo do innego przenieśli go pułku, więc już nie wysyłała, lecz jeno składała Mamusia pieniądze do niebieskiego w gwiazdki pudełka, a gdy otwierała kuferek, wyjmowała pantofelek, kładła go na dłoni i oglądała: jakież to ma-

leńkie były wtedy te nóżki, potem były trochę większe w żółtych bucikach, potem jeszcze większe, w szkole już duże i na haki sznurowane... i tyle się Mamusia tym bucikom napatrzyła i gdy się krzywiły i gdy się darły, i chociaż się nieraz tyle namartwiła i nakłopotowała, i na schodach, czekając nasłuchiwała, a zawsze przecież do niej wracały — tak długo je przecież widziała, tyle czasu im się przypatrywała.. Tylko się tym grubym żołnierskim dość nie napatrzyła, bo ledwie przyszedł w nich, nastukał i wnet poszedł. A tamte, tamte zawsze wracały, czyżby te żołnierskie?... Przecie, że wrócą.

I znów oglądała Mamusia mały pantofelek i wszystkie znane w nim wypukłości, zagięcia i fałdeczki, a wszystkie one, tak dobrze znane, jakby upewniały mamusię, że Synek wróci... Wróci synek wynędzniały, odarty i brudny, i dużo, dużo będzie trzeba pieniędzy, aby go ubrać, obuć, odżywić. Więc jak zawsze —

...warknęło kółko i stuknęła nóżka, i rozbiegła się po szpitalnych kaftanach i po bandażach, i po fartuchach, i po czerwonych jak krew na nich krzyżach, bo wiele rannych codziennie wynoszono z wagonów, a czasem nawet całe ich przywożono pociągi..

I tak minął miesiąc, drugi i trzeci, i znów Mamusia pieniądze wysłała, a listu jak nie było, tak nie było. I zaczęła Mamusia chodzić po różnych urzędach i po biurach i pytała i dopytywała się, a wszędzie czekała długo, bardzo długo, i do domu z niczem wracała. Więc poradzili Mamusi, by złożyła podanie. Pisał je pewien staruszek, pisał a pisał, i gdzie tylko sam wiedział, podania te skierowywał. Płaciła mu Mamusia za trud z niebieskiego w gwiazdki pudełka, a wieści od Synka nie było i nie było...

Wreszcie przyszła. Wezwano Mamusię do jakiegoś urzędu i tam odczytano, że syn jej jest w niewoli. Dobrze tego odrazu Mamusia nie zrozumiała i wyszła, z ulicy chciała wrócić, o coś się urzędnika zapytać, ale nie wiedziała dobrze, o co pytać miała, więc do domu poszła.

A w domu przed maszyną siedła, robotę podłożyła... W niewoli —

myślała — chyba nie on jeden, a dużo się ich tam dostało, tylu nie zamęczą, jakoś sobie poradzi... Ale nagle straszne z różnych opowiadań stanęły przed nią obrazy: biją kolbami, męczą, jeść nie dają, z odzienia obdzierają, zabijają... I znów się pocieszała: chyba niema i tam tak złych ludzi, by teraz na zimę z odzienia, z butów obdzierali, a w tych jego butach dużo przecież przetrwać można — i mróz, i śnieg, i błoto. Więc wróci pewno Synek zdrowy i cały, choćby tylko przez te buty, a wrócić powinien.

I żeby się upewnić lepiej, wyjmowała Mamusia z kuferka zdeptany pantofelek, kładła go na dłoni i patrzyła. Wszystkie znane jej oglądała wypukłości, zgięcia i fałdeczki, wszystkich dotykała i guziczki zapinała, i znów kładła na dłoni patrzyła a przypominała: po tych czarnych pantofelkach były większe żółte, potem jeszcze większe sznurowane... i wszystkim im się napatrzyła, wszystkie ich znała fałdki i dziury i łatki, tylko się tym grubym żołnierskim nie dobrze przyjrzała, bo tylko postukał niemi synek, połomotał i wyszedł... A tamte wszystkie, wszystkie do mamusi wracały — i żółte, i czarne, i sznurowane, czyżby tylko te żołnierskie wrócić nie miały?...

I wyjęła Mamusia z niebieskiego pudełka pieniądze i do niewoli posłała. I czekała. A wieści od Synka jak nie było, tak nie było.

I tak minął rok drugi i trzeci, aż zmęczeni się ludzie wojną i bić się przestali. Więc znów ją chodzić Mamusia po urzędach, pytać a dopypywać, czy kto może wrócił z niewoli, czy kto nie widział, czy kto coś o jej Synku nie wie. Ale nikt nie wiedział.

Więc wieczorami, gdy stróż już bramę zamknął, wychodziła na schody i nasłuchiwała. Wszystkie przecież buciki do niej po tych schodach wracały: i maleńkie żółte, i czarne na haki, czyżby więc te żołnierskie grube wrócić nie miały? Pewno wrócą. Więc i ona cicho wracała do swej izdebki i przed maszyną siadała. I jak zawsze —

...warknęło kółko i stuknęła nóżka i rozbiegła się po równiutkich zakładkach i po wstaweczkach i po hafcikach, i po koroneczkach, i po różowych batystach, i po jasnych atlasach, bo wojna już naprawdę była skończona, a uśmiech i radość, choć i nie dla wszystkich, znów powróciły na twarze...

I warczało kółko i coraz dłużej biegła w mamusinej maszynie nóżka, bo przecież dużo bardzo potrzeba będzie pieniędzy, by Synka obuć, ubrać i odkarmić. Posłała

mu też Mamusia wszystkie z niebieskiego pudełka pieniądze, aby mu na niczem, gdy powracać będzie, w drodze nie zbywało. I czekała.

A wieczorem, gdy stróż bramę zamykał, zdawało się jej czasem, że skrzypią pod czyjąś stopą za drzwiami schody, wychodziła wtedy cicho do sieni i słuchała...

Aż wreszcie usłyszała. Na dole po schodach grube, jakie tu nigdy nie chodziły, zastukały buty — coraz wyżej i wyżej: już na skrócie mignął płaszcz żołnierski, już schodek za schodkiem wznosi się coraz wyżej i wyżej wytarta żołnierska czapczyzna... Przysłoniła się mamusia do muru i czekała. Ujrzała przed sobą twarz wymęczoną i bladą. Oczy? Nie, to nie oczy jej Synka. Przypominała Mamusia, przypominała... ach tak: — kolega, już pamięta. Weszła z nim do izdebki. Usiedli i czekali na coś oboje. Wreszcie on zaczął pierwszy:

— Czy pani nie wie nic, czy pani nie słyszała, co się z rodzicami moimi stało? Wróciłem, a tu ani ich, ani mieszkania. Jedni mówią, że ich wywieźli, drudzy, że nie żyją... Mieszkanie zajął kto inny, rzeczy rozkradziono.

I obejrzał się na stojące zawsze w tem samym miejscu w Mamusinej izdebce czyste, synowe łóżecko.

— A pani — rzekł czeka?

— Tak, czekam.

A on spojrzął znów na łóżecko, wspominał, że i tej i tamtej nocy na ulicy nocował, a że serce mu od długiej niedoli, od kolby i razów twarde się stało i nielitościwe, więc bez namysłu wypalił:

— Niema już co czekać. Niema go tam w niewoli i nie było. Przecież sam widziałam. Zaraz w pierwszym roku, w pierwszym nawet miesiącu, gdyśmy tam jedną pozycję atakowali, on szedł obok w jednym z mną szeregu. Tamci gęsto strzelali. Widziałem, jak się

zachwiał, odchylił, a potem padł na ziemię i ręce rozłożył. Odrązo go widać trafiło. Niema co czekać — dodał, oglądając pożądliwie synowe łóżecko.

Mamusia o nic już nie pytała, nic nie mówiła, tylko siedziała na swoim krzeselku i patrzyła przed siebie. On także siedział i patrzył na nią. I naraz coś mu się przypomniało, coś bardzo dalekiego ze stwardniałego podniosło się serca, więc patrzył na mamusię i patrzył, chcąc sobie rzecz dawną, daleką przypomnieć, zrozumieć. I nagle wstał i, nic nie rzekłszy, wyszedł. A Mamusia została na swem krzeselku. Już więcej, niż do połowy, wypaliła się w lampce nafta, a ona wciąż siedziała. Wreszcie jakby nieswojem dźwignęła się ciałem i wolno do kuferka podeszła. Wyjęła pantofelek, usiadła, na dłoni go sobie położyła. I oglądała. Każde jego zagięcie, każdą fałdeczkę. Oglądała, oglądała, ale już nic nie rozumiała. Odpinała i zapinała guziczki, a po co — nie wiedziała... A za małym pantofelkiem szły żółte większe buciki, a potem czarne, na haki sznurowane, i jeszcze większe, i szły wszystkie za sobą i w jakąś pustkę zapadały, która bardzo — bardzo była blisko, bodaj czy nawet nie w pierśi Mamusi... I jeszcze raz ucho jej dołowić się chciało odgłosu żołnierskiego buta na schodach, ale fale ciszy zalały wszystkie głosy, a rosnące ciemności przesłoniły oczy... Pochyliła się Mamusia nad maszyną, pantofeleczonek wypuściła z ręki...

Nazajutrz rano do mamusinej izdebki wbiegła przyczycić soli dobra sąsiadka...

— Co pani tak całą noc tu przesiedziała? — zawołała, widząc głowę Mamusi o maszynę opartą. Biedactwo zasnęło — szepnęła do siebie sąsiadka, zbliżyła się i w twarz Mamusi zajrzała.

— Nie żyje, czy co: — krzyknęła i w trwodze z izdebki wypadła.

Zbiegli się sąsiedzi, sąsiadki, przyszedł stróż i stróżka, wezwali policjanta i doktora.

— Tak, nie żyje, to oczywiste — rozejrzał się doktor po izdebce. — Cóż, serce, wycieńczenie.

I wysunięto na środek synkowe łóżecko. Ubrano Mamusię odświętnie, uczesano, obrazek wtknięto w zastygłe ręce i pozapalano świece. A gdy to zrobiono, obejrzała się stróżka po kątach za miotłą, izdebkę zamieść chciała, bo błota naniósł tyłu ludzi nogi, i śmiecia i słomy. Pociągnęła stróżka miotłą pod łóżkiem, pod stolikiem, i nagle pantofelek wymiotła. Wzięła go w rękę, obejrzała z wierzchu, obróciła od



spodu, a że był tylko przydeptany, schyliła się więc i raz i drugi i trzeci, by odnaleźć parę. A że nie znalazła, pokazała go tedy modlącej się z książki sąsiadce, ale ta z ponad okularów spojrzała, ręką machnęła i dalej już głośno modlić się zaczęła. Rzuciła stróżka pantofelek na łopatkę w śmiecie i na dół do śmietnika zniosła.

A rano, raniutko, gdy się już drugi dzień zrobił, a nad Mamusią

dopalały się świece, weszła w podwórko stara gałganiarka i pantofelek podjęła. Haczykiem swoim grzebała i szukała, szukała od pantofelka pary, a że cały śmietnik rozgrzebała, skrzyczała ją stróż i bez pantofelka za bramę wyrzucił.

Po³ gałganiarce wjechał w podwórce z hałasem chłop z wozem na śmiecie. Nie przeglądając,

wielkimi widłami pantofelek wraz ze słomą, popiołem i kośćmi na wóz zwałił, wywiózł za miasto nad rzekę i tam na brzegu wszystkie z podwórka śmiecie na jedną kupę zrzucił.

A kiedy Mamusię chowano, nad pantofelkiem na niebie jednakie dla wszystkich świeciło słońce i jednała dla wszystkich w łożysku swem od wieków płynęła ku morzu dalekiemu rzeka. *Koniec*

I V O A N D R É

WĘDRÓWKI ALIJI DŻERDŻELESA

4)

(tłum. z Serbo-chorwackiego M. Zn. Szczepańska)

Cygańczuki, powieszani po drzewach, obrzucają go z ukrycia suchymi szyszkami. Dżerdzeles wraca na miejsce, siada, pije i bierze się do pieśni.

Jest już mrok. Tłum pomału się rozchodzi, ale Moricze i ich kamraty właśnie piją w najlepsze, rozprawiają i ciągle stroją żarty z Dżerdzelesa, który wytrzeszcza oczy, aby rozpoznać w mroku twarz Zemki, bo wszystko mu się mięsza i zlewa przed zamglonym wzrokiem. Grajkowie chcą odejść, oni ich zatrzymują najpierw po dobroci, potem siłą, wymyślają na ich mać cygańską, wypychają im pieniądze to znów tłuką ich na zmianę.

— Późno jest, puście nas, drodzy agowie.

— Nic już nie widać, patrzcie, daleko do domów, zabłądzimy...

Nagle młodszy Moricz zerwał się z miejsca, jego twarz bez zarostu pobladła i odęła się i zła jest, jak człowieka gotowego na wszystko.

— Poświecę ja wam zaraz, cygańskie duszel!

Chwytał wielką głownię świerkową i trzymając ją z boku, gdy dym go dusił i obsypywały iskry, pędził, zlekka się kołysząc. Na jej zachodnim, otwartym krańcu polany stał stóg siana, ogrodzony płotem z chrustu, powychapywany i powygryzany z boków, dokąd bydło mogło dosięgnąć. Moricz znalazł stóg pociemku, ale siano długo nie chciało chwycić ognia, dopiero, gdy nałamał suchych patyków z płotu i nakładł ich pod spód, buchnął wokoło stogu płomień, podnoszący się coraz wyżej, aż wreszcie zmieniło się wszystko w wielki słup ognisty, który, rozszerzając się na wietrze, wyglądał, jak zdroj żywego ognia.

Siano trzeszczało, syjąc rojami iskier, czerwona światłość zalała sosny, polanę i ludzi, co jeszcze zostali. Zaczęto się spiesznie rozchodzić, gdzie kto mógł. Grajkowie drżeli ze strachu.

— Aman ago¹⁾ coś uczynił? Kadija²⁾ nas wszystkich powywiesza.

— Do djabła z tobą i Kadiją!

— On nie was będzie winił, tylko nas, cyganów. Powie: to cyganie zapalił moje siano. Uchl³⁾

Znikli gdzieś i owi kupcy: choć zupełnie pijani, zrozumieli, że tego już zanadto. Siedzą tylko obaj Moricze, strzelają z małych karabinków, popijają i patrzą w trzaskający ogień.

A Dżerdzeles pospiesza w mroku za ostatnimi cygankami, łowić Zemkę. Usiłuje biec, jak może najprędzej i jest już bardzo blisko, gdy ona nagle skręca na lewo i ginie na drodze, wijącej się wśród pól. Dżerdzeles nie spodziewał się tak nagłego skrętu; krępy, ciężki był pijany, nie mógł się zatrzymać, przeleciał kraj polany, i znalazł się na wysokim, stromym brzegu potoku. Próbował z początku utrzymać się na nogach, ale brzeg spadał w dół coraz urwiściej, więc stracił równowagę i stoczył się, jak kłoda do samego strumienia. Pod rękami uczył mokre kamienie i mech i zaraz zaczął się podnosić. W oczach miał jeszcze blask od ognia, ale tu było zupełnie ciemno. Namacał wodę i zaczął chłodzić rękami czoło. Siedział tak długo w zapadającej nocy.

¹⁾ Aga — również tytuł szlachcica tureckiego, tak jak beg.

²⁾ Kadija — sędzia.

Po jakimś czasie poczuł chłód i niemiłe dreszcze, przemógł się i w tępej swej głowie postanowił wyostać się ze strumienia. Zaczął się pięć, szukać drogi, chwytając rękami za trawy i korzenie, podpierając się kolanami, dążąc coraz wyżej na lewo, gdzie wyniosłość była mniej stroma; a wszystko to czynił, jakby we śnie.

Po długim czasie i wielkich wysiłkach znalazł się na skraju polany, na której oddawna nie było już żadnej duszy. Ciemność tu panowała. Poczuł równy i twardy grunt pod nogami i teraz dopiero osłabł całkowicie. Ukląkł, oparł się na rękach i namacał coś ciepłego, sypkiego pod sobą; przyszedł na miejsce, gdzie zgorzał był przedtem stóg siana. Leżał tak na brzuchu, podparty rękami. Było mu duszno. W kupie czarnego popiołu błyskała gdzieś iskra ognia. Słychać było, jak psy chrupią i żrą zostawione kości. Z jakiejś sosny spadła szyszka i przytoczyła się do niego. Uśmiechnął się.

— Nie ciskaj szyszkami, Zemko, jucho, przyjdź tu!

Nie może zebrać myśli w żaden sposób. Przypomina sobie, że chciał kogoś bić; chciał kogoś zapytać, co się z nim dzieje, ale zachmurzyło się właśnie i jest noc późna, i niema ani kogo zapytać, ani się z kim grzmocić.

DŻERDŻELES W SARAJEWIE

Nieszczęsny, sławny i śmieszny, przejechał Dżerdzeles połowę Turcji wszerz i wzdłuż. O jego przygodach tego lata mało co kto wiedział i on sam zapomniał o nich natychmiast. Słychać było, że popełnił moc szaleństw dla wdowy

po jednym kupcu z Uszczupu i że wyciągnęła z niego dużo pieniędzy pewna żydówka, która się zadawała z handlarzami Salonickimi. Przed samym początkiem „ramazanu”³⁾ przybył do Sarajewa.

Na trzy dni przed jego przybyciem stracono nad Kowaczami, na szerokim placu, gdzie się sprzedaje siano, obu Moriczów. Zostali schwytani w pewnym zajeździe, na szosie, wiodącej do Tyrnowa. Przeprowadzono ich przez całe Sarajewo. Szli związani krótkimi os rym krokiem Arnoutów, przy nich żandarmi i straż zbrojna. Wzbijali za sobą lekki obłoczek pyłu. Ludzie się oglądali, a gdy kroczyli przez dolny rynek, zaczęto obrzucać ich wymysłami. Przekupnie wyskakiwali ze swych sklepików i, przebiegając kabłąkowatemi nogami, szukając po ziemi swych drewnianych chodaków:

— Patrzcie! Hajducy!⁴⁾ Siekiery na te świniel!

Tak prowadzono ich do Taszliczhanu.

Nie stracono ich nad Mi'jaczką⁵⁾, pod mostem łacińskim, gdzie wiszono pospółstwo i gdzie skazańcy wisieli po dwa dni, a próżnujące włóczęgi zakręcili sznur i puszcza-li, tak, że trupy kręciły się długo jak wrzeczona. Załatwili się z nimi prędko i zaraz o zmroku pochowano ich na Bakijach. Ich

matka umarła na miejscu, bez jęku, gdy z balkonu zobaczyła, dokąd

³⁾ Ramazan — post muzułmański.

⁴⁾ Hajduk — zbójca.

⁵⁾ Mi'jaczka — rzeka przepływająca Sarajewo.

⁶⁾ W ramazanie jak wiadomo, wiernym nie wolno nic jeść, pić, ani palić przez cały dzień: Dopiero z nastaniem zmroku, gdy koniec dnia postnego obwieszcza strzał armatni, zaczyna się jedzenie i zabawa, Wszystkie meczety są oświetlone lampkami, aż po szczyty minaretów (wieżyc), co w Sarajewie, wobec istniejących dziś jeszcze 96-ciu meczetów, czyni widok czarowny, (przyp. tłum.)

⁷⁾ Owoc podobny do granatu, lecz drobniejszy.



ich wiodą. Dom Moriczów, wielki, z niezliczonymi oknami, które patrzą z góry na miasto i na Igman, pozostał ciemny i pusty. Tylko w jednym z dolnych pokoi paliła się świeca. Tu, niknąc od suchot, leżała siostra straconych, z płową główką, wspartą o gorące poduszki, ze świecącymi od gorączki oczyma i słuchała szeptu swej starej niani, Andzi, która knuła w tajemnicy zamiar ochrzczenia jej, bodaj w godzinę śmierci.

Po pierwszych deszczach i wiatrach jesiennych ulice Sarajewa stały się czyste i świeże, roz pogodzone wesołym blaskiem jesiennego słońca. W powietrzu snuły się jedwabne nici pajęczyn. Był właśnie ramazan⁶⁾ i dnie były spokojne, ale w nocy miasto trzęsło się od grania, spacerów i flirtów po ulicach. Sklepy, pełne owoców, i zajazdy, pełne ludzi, otwarte były od zmroku do świtu.

Z restauracji bucha ostry i duszący zapach masła i smażonego cukru. Przechodzą gromadki kobiet, a przed każdą gromadką idzie mężczyzna z latarnią w ręku. Słychać wśród ciemnej ciszy, w oddalonych ogrodach, miękki stukot padających na ziemię przejrziałych gruszek, a dojrzałe „takisze”⁷⁾ przewieszają się przez ogrodzenia i pełne jesiennego soku, spadają przechodzącym na głowy. (c. d. n.)

ALEKSANDER KRAUSHAR

Młode lata Księcia Adama Czartoryskiego

(1776 — 1805)

„Podczas gdyśmy się wzdłuż i wszerz po ogrodzie przechadzali, spotykaliśmy często wielką księżnę. Wielki książę oświadczył, że i żona jego była powiernicą jego myśli, że ona je podziela w zupełności, lecz, że oprócz niej nikomu dotąd z tych przekonań się nie zwierzał i że powinienem odczuwać, ile mu to jest miłym, że będzie mógł odtąd mieć we mnie swego powiernika”.

Rozmowa ta, jak łatwo się domyślić, była przeplatana wylewami uczuć przynajmniej z jego strony; zdziwienia, wdzięczności i przysięgami wierności z mojej. Pożegnał mnie zapewnieniem, że starać się będzie częściej mnie widywać, i zalecił mi ostrożność i tajemnicę największą, upoważnił mnie do podzielenia się nią z bratem.

Oddaliłem się, przyznając, w osłupieniu, głęboko wzruszony, nie wie-

dząc, czy jestem na jawie, czy we śnie. Jaktóż? Książę rosyjski, następca Katarzyny, jej wnuk i ulubieniec, którego z pominięciem syna Pawła, radaby widzieć na tronie i o którym mówiono, że będzie kontynuował politykę Katarzyny, ów książę nie podzielał, a nawet potępiał zasady babki, kochał sprawiedliwość i wolność; ubolewał nad Polską i pragnął ją widzieć szczęśliwą. Czyż nie było to cudownem, iż w takiej atmosferze i w takim otoczeniu mogły się wykluczyć pojęcia tak szlachetne i tak podniosłe cnoty?”

Od tej chwili uczucie szczerego uwielbienia dla osoby w księcia przeniknęło całą duszę księcia Adama. Przy każdej sposobności uczucie to jest widocznem ze słów i wzmianek, jakie pamiętnik ks. Adama o późniejszym cesarzu Aleksandrze I-ym obejmuje.

I w książce ze swej strony korzystał z każdej sposobności, aby wzmocnić w księciu Adamie przekonanie o szczerości tego, co mu już było wiadomem. W taki sposób zawiązały się tajne, a serdeczne między młodymi ludźmi stosunki, które nie pozostały bez wpływu na przyszłe losy Polski.

VI

Zawiązane w tak niespodziany sposób stosunki między Czartoryskimi a w księciem Alexandrem stanowią główną oś pamiętników ks. Adama, około której obracają się wszelkie wspomnienia z owej epoki. Trwały one już dość długo, gdy pewnego razu na przechadzce przybiegł do w. księcia hrabia Soltków z wiadomością ważną o nagłym zasłabnięciu imperatorowej. Już od niejakiego czasu zauważo-

no znaczne opuchnięcie jej nóg. Rady lekarzy nie odnosiły skutku gdyż Katarzyna im nie wierzyła, mając więc j zaufania do domowych lekarstw. Pewnego dnia jednak wierny jej kamerdyner Zachar, zważwszy, że cesarzowa nie wychodzi z garderoby, otworzył drzwi i zastał swoją panią bez przytomności. Zwołano doktorów, lecz już było za późno. Panowanie cesarza Pawła rozpoczęło się.

Nowe rządy rozpoczęły się od oswobodzenia z niewoli jeńców polskich. Mostowski, Kościuszko, Niemcewicz, Kiliński, Kapostas, Zakrzewski powitali z radością wolność. Oprócz tego cesarz Paweł zaprosił króla Stanisława Augusta do Petersburga, gdzie mu oddał na mieszkanie jeden ze swoich pałaców. Czyny te, ujawniające w nowym monarsze łagodniejsze usposobienie, były w sprzeczności z trybem despotycznym, jaki w stosunkach do poddanych zaczął się przejawiać, poczynając od oznak uszanowania, nakazanych przy spotkaniu cesarza na ulicy, aż do zewnętrznych form ubioru, z góry przepisanych.

Okazano Czartoryskim szczególną względność, wyznaczwszy ich za adjutantów wielkich książąt. Ks. Adam pozostawionym był przy boku w. księcia Alexandra, brat jego został adjutantem Konstantego.

„Nominacja ta — pisze książę Adam — ucieszyła nas bardzo, gdyż przywiązywała nas bardziej do osób wielkich książąt i zwalniała od obo wiązków dworskich, bardzo uciążliwych. Nowe obowiązki nie były tak trudne. Polegały one na towarzyszeniu wielkim księżętom na paradach, pozostawianiu w ich orszaku podczas przeglądów wojsk, gdy cesarz schodząc na plac pałacowy przechodził wzdłuż frontu i witał synów, nazywając ich „Messigneurs“.

Z początkiem 1797 r. udał się cesarz do Moskwy na koronację, nakazawszy królowi Stanisławowi Augustowi znajdować się na tej uroczystości. Smutną on tam odegrał rolę. Nie mogąc ze znużenia utrzymać się na nogach, usiadł na trybunie, jaka mu była wyznaczona. Cesarz Paweł, spostrzegłszy to polecił mu oświadczyć, aby w czasie nabożeństwa nie siedział i biędny król rozkaz ten spełnił.

Gdy już wir zabaw i festynów z powodu koronacji uspokoił się, młodzi książęta Czartoryscy otrzymali ułop trzymiesięczny na wyjazd do Polski.

„Wielki książę Alexander — pisze autor — bardzo się zasmucił na wiadomość o moim wyjeździe. Prosił mnie, aby mu pozostawił projekt proklamacji, jaką miał za-

miar wydać z chwilą objęcia tronu. Bronilem się od tego, ilem mógł, lecz książę nie ustawał w naleganiach. Należało się poddać prośbie. Zredagowałem na prędce ów projekt. Był to szereg motywów, w których po wyłożeniu niedogodności, jakie wypływały z dotychczasowego systematu rządów w Rosji, przedstawiałem korzyści jakie odniesie państwo z wprowadzenia zasad wolności i sprawiedliwości; po wprowadzeniu zaś ich w życie, miała nastąpić zmiana w systemacie rządów.

„Nie potrzebuję nadmienić — czytamy dalej — jak piękne te rozumowania i frazesy, jakie starałem się nawiązać mało się nadały do rzeczywistości. Alexander bardzo był z mojej roboty zadowolonym, choć w gruncie rzeczy, w zamiarze wyrzeczenia się władzy, w proklamacji zapowiedzianej tkwił egoizm i chęć usunięcia się od ciężarów panowania. Schował ów papier do kieszeni, jakby talizman jaki. Dziwna to potęga złudzeń i marzeń, kołyszających młodość nawet w warunkach, gdzie doświadczenie tak szybko oziębia duszę. Nie wiem, co się stało z owym papierem. Sądzę, że Alexander nikomu go nie pokazał, że go spalił, przekonawszy się o bezużyteczności projektu, o czem wiedziałem, redagując go z wyraźnego rozkazu“.

Młodzi książęta Czartoryscy wyjechali z Górkim do Puław, gdzie ich z utęsknieniem oczekiwała, po dwuletniem niewidzeniu rodzina. Nadeszły tam wkrótce i listy w. księcia, pełne, najczulszych zapewnień przajaźni. „Ojciec mój, słuchając moich opowiadań o Petersburgu — pisze ks. Adam — przypominał sobie i swój pobyt tamże za czasów Elżbiety i Piotra III. Matka moja, pełna była obaw o następstwa stosunków z wielkim księciem. Był to nieustanny przedmiot rozmów naszych. [(c. d. n.)

wodów, uważa brak odpowiedniego przygotowania do zarządu domem ze strony kobiety.

„Mojem zdaniem“ oświadczyła lady Asquith — „każda narzeczona przed wstąpieniem w związku małżeńskie powinna być zmuszoną do przejścia całkowitego kursu gospodarstwa domowego, ale nie takiego, jakie istnieje już w niektórych szkołach, a których program opiera się głównie na wiadomościach teoretycznych. Nie — powinien to być kurs wyłącznie praktyczny — a główną rolę w nim musi odegrywać umiejętność ułożenia budżetu domowego. Dziwi to pana? Otóż ja osobiście jestem głęboko przekonana, że 90% nowoczesnych małżeństw rozwodzi się z powodów finansowych. Poprostu — nie umieją uregulować swego budżetu domowego; w większości wypadków żona nie potrafi zastosować swych wydatków osobistych i domowych do dochodów męża. Nie jest to zresztą jej wina; jest tak łatwą, zwłaszcza dla młodej, niedoświadczonej gospodyni, która często nawet nie orientuje się jeszcze w cenach poszczególnych artykułów pierwszej potrzeby.

Dzisiejsze warunki ekonomiczne wymagają koniecznie ścisłej współpracy obojga małżonków w układaniu preliminarza budżetowego. Winni oni oboje zaraz po ślubie (albo co jeszcze lepiej przed ślubem) ułożyć sobie ten preliminarz w stosunku do swych dochodów, oznaczając ściśle jaki procent przeznaczają na ubranie, mieszkanie, życie, ile na rozrywki i przyjemności i t. d.

Aby jednak obliczenie to nie pozostało jedynie na papierze — młoda żona musi się przedtem praktycznie zapoznać z prowadzeniem gospodarstwa domowego, do tego celu powinny właśnie służyć propagowane przezemnie kursy. Przejście tej praktyki uwolni młodą żonę od niebezpiecznych eksperymentów we własnem gospodarstwie — eksperymentów, grożących jej domowi ruiną, obojgu małżonkom — rozgoryczeniem i wzajemną niechęcią, a w rezultacie najczęściej — rozwodem.

POCHWAŁA SZOFEREK.

Ilość kobiet — szoferek w Paryżu wzrosła ostatniemi czasy tak dalece, że szoferzy uczyli się na serio zagrożeni tą konkurencją. Postanowili więc wytoczyć ofensywę przeciwko temu zalewowi ich stanowisk przez siły kobiece i w tym celu rozpoczęli kampanję w dziennikach, wykazując swym

KOBIE TA W ŚWIECIE
I W DOMU.



KURSY DLA NARZECZONYCH.

Jeden z dzienników londyńskich zamieszcza wywiad ze znaną działaczką polityczną i społeczną angielską, lady Asquith, która za główną przyczynę niezgodnych małżeństw, a co za tem idzie — i roz-

przeciwniczkom „fachowo“ brak odpowiednich kwalifikacyj, uzdolnienia fachowego etc. etc.

Zarzuty te wywołały jednakże nieoczekiwany skutek. Oto jeden ze znanych specjalistów z dziedziny automobilistyki, właściciel wielkiej fabryki i garażu samochodowego, wystąpił z artykułem, w którym dowodzi, że owe kobiety są daleko odpowiedniejszym materiałem na szoferów, niż mężczyźni.

„Mam wielu uczniów i uczennic na moich kursach szoferskich“ oświadczył ów specjalista. „Otóż w imię bezstronności i sprawiedliwości stwierdzić muszę, że kobiety są naogół pojętniejsze, zręczniejsze, bardziej dokładne i ostrożniejsze, niż mężczyźni.

Bez przesady powiedzieć mogę, że na 10 szoferów, którzy kończą moje kursa, przypada 6 — 7 złych, t. j. takich, którym bardzo daleko do ideału szofera; na 10 zaś uczennic 6 — 7 dobrych, t. j. takich, które posiadają wszystkie zalety, potrzebne szoferowi: ostrożność, zręczność, dobre obeznanie się z mechanizmem, równowagę i zimną krew — najpewniejszy środek przeciwko nieszczęśliwym wypadkom”.

NAJLEPSZA ODPOWIEDŹ

Wiadomem jest powszechnie, że stronnictwa polityczne w Stanach Zjednoczonych dzielą się na dwa wielkie obozy: republikański i demokratyczny. Każde nowe wybory do Kongresu przynoszą wzmożoną agitację przedwyborczą, która przybiera nieraz formy bardzo jaskrawe, a polega naturalnie na wyliczeniu prawdziwych czy urojonych zasług własnego obozu i oczernianiu obozu przeciwnego.

W czasie zeszłorocznej kampanji przedwyborczej jedno z pism wychodzących w Baltimore, „Evening Sun“, ogłosiło konkurs na najlepszą definicję różnicy pomiędzy republikaninem a demokratą. Odpowiedzi napłynęło bardzo dużo, przyczem warto podkreślić, że przeszło 25% listów było pióra kobiecego, co świadczy o dużym zainteresowaniu się polityką wśród Amerykanek. Okazało się jednak, że i odpowiedź, uznaną za najlepszą nadesłała także kobieta, panna Esther M. Hollander, słuchaczka uniwersytetu. Odpowiedź ta, utrzymana w tonie ironicznym, brzmiała jak następuje:

„Republikaninem jest ten, kto uważa, że nieszczęściem dla państwa byłoby, gdyby ster rządów dostał się w ręce Demokratów. Demokratą jest ten, kto uważa rządy republikańskie za zgubne dla kraju. Obydwaj mają rację.“ Z. B.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

PIERWSZY W POLSCE STADJON DLA KOBIEC.

Czytelniczki nasze wiedzą już z „Komunikatu“, że Koło Polek otrzymało od rządu teren pod budowę stadjonu dla kobiet.

Fakt to tak doniosły dla wszystkich, interesujących się już nie tylko życiem sportowem kobiet, ale rozwojem ruchu kobiecego wogóle, że nic dziwnego, iż wzbudził duży odgłos, wywołał liczne komentarze, tak w prasie, jak i w stowarzyszeniach kobiecych i sportowych.

Dużo też wprost nie zgadzających się z istotnym stanem rzeczy wiadomości rozeszło się przez ludzi źle poinformowanych o nieistnieniu jeszcze stadjonie, wiadomości nierzeczowych, a zaprawionych pożałowania godnym elementem jakichś niewytłumaczonych animozji i zawiści.

Wracam więc do sprawy stadjonu, aby ją wyjaśnić i rozważania nad nią skierować na właściwe tory.

Myśl o stadjonie, powzięta od dwóch lat z górami, dojrzewała w zupełnej ciszy.

Koło Polek, które przez swoje duże wyrobienie społeczne, wysoką i prawdziwą ideowość, przez swój wreszcie zgoła nie kobiecy sposób pracy, stało się najbardziej chyba zasłużoną i najbardziej chyba popularną organizacją kobiecą, nie lubi mówić przed czasem o swoich planach.

Dopiero gdy cel jest zdobyty, zamiar wykonany, wtedy szersza publiczność może się o nim dowiedzieć. Na rzecz stadjonu nie było żadnej uzewnętrzniającej się propagandy, w prasie nie wspomniano o tem, napewno nawet wiele członkiń Koła było zaskoczonych tą nowiną.

OD ADMINISTRACJI

Przypominamy, że celem uniknięcia przerwy w wysyłce „Bluszczu“ należy najrychlej przesłać prenumeratę za kwiecień

Dlaczego stadjon ma urządzać Koło Polek, organizacja społeczna, kulturalno-oświatowa etc., a nie żaden klub sportowy, dlaczego nie starał się o ten teren ani Sokół, ani harcerstwo, ani żaden z klubów.

Odpowiedź jest zdaje się zupełnie jasna, dlatego, że tamte instytucje, zajmując się przedewszystkiem mężczyznami, młodzieżą męską, wprost nie pomyślały o tem; to co dać chciały i dać mogły kobietom, to był dostęp do ich zajęć, do ich urządzeń o tyle, o ile kobiety nie zajmowały tam zbyt dużo czasu i zbyt dużo miejsca. Jak niejednokrotnie wspominałam, były tam wszędzie do ostatnich czasów, a bodaj i dziś są na drugim miejscu.

Koło Polek natomiast jako organizacja wyłącznie kobieca, organizująca całość życia kobiety, całość jej wychowania społecznego, jako jeden z głównych celów swojej pracy postawiło wychowanie fizyczne.

Wychowanie fizyczne, pojęte w jak najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc nie sport tylko, a w każdym razie nie zawody, rekordy i t. p. dokoła których kręci się niestety prawie wyłącznie praca naszych klubów sportowych, lecz wychowanie fizyczne, pojęte jako racjonalne, systemacne i wszechstronne podnoszenie rozwoju fizycznego całej masy kobiet, pracujących w rzemiośle, handlu, biurowości, dziewcząt, studentek, uczennic, dzieci i t. p.

Nie chodzi Kołu Polek o zaspokojenie nielicznych dziś u nas jeszcze samych tylko „sports“ — czy „rekords-women“, cele jego są znacznie szersze.

Ma ono mianowicie za zadanie umożliwić wszystkim tym, którzy dotychczas dla braku miejsca i funduszy nie mają gdzie uprawiać gimnastyki, gdzie organizować gier i zabaw i uprawiać sportów, a w pierwszym rzędzie swoim członkiniom dać teren, gdzie mogłyby to wszystko robić.

Prócz tego myślą, która najsilniej może parła do zdobycia tego terenu, była ta, że, jako najczynniejszy członek Komitetu Przysposobienia Rezerw, Koło Polek bojało nad tem, że Komitet tak bardzo rozstrzela i marnuje swoje siły, tułając się swojemi ćwiczeniami fizycznymi po najmownych salach gimnastycznych i szermierczych, po ujeżdżalniach i strzelnicach wojskowych.

Ideą przewodnią Koła Polek jest nie sport jako taki, lecz stworzenie przez podniesienie siły, zdrowia i tężyzny kobiety polskiej

przez jej wychowanie fizyczne, przez gimnastykę, sport i ćwiczenia wojskowe, typu obywatelki kraju dzielnej i silnej, która będzie równie odporna na trudy i walkę życia codziennego, jak zdolna w chwili wybuchu wojny do czynnej służby w obronie kraju.

Dnia 6.III. zwołało Koło Polek wraz z Komitetem Przysposobienia Rezerw zebranie organizacyjne Komitetu Budowy Stadjonu. Na zebraniu tem były przedstawicielki Harcerstwa, Wioślarek, Koła Przełożonych, nowopowstałej „Rodziny Wojskowej” i inne. Prawie wszystkie te organizacje wchodziły w skład Komitetu Przysposobienia.

Wysłuchawszy projektów Koła Polek, mają one po porozumieniu się ze swojemi zarządami zgłosić akces do współpracy nad budową stadjonu.

W myśl tych projektów praca ta podzieli się między następujące sekcje:

1. sekcja propagandy, 2. organizacyjna, 3. techniczna, 4. finansowa.

Jedni więc zająć się muszą propagowaniem w słowie i piśmie

potrzeby budowy stadjonu, muszą zainteresować i przekonać opinię, aby uzyskać jej poparcie.

Sekcja organizacyjna ma opracować zasady współżycia poszczególnych ugrupowań na stadjonie. Za punkt wyjścia służyć musi fakt, że prawnym właścicielem, a więc gospodarzem stadjonu jest Koło Polek. Ponieważ chce ono na prawdę jak najbardziej wykorzystać swój stadjon, ma zamiar dopuścić do niego prócz Komitetu Przysposobienia także wszelkie kluby sportowe, drużyny harcerskie, szkolne i t. p.

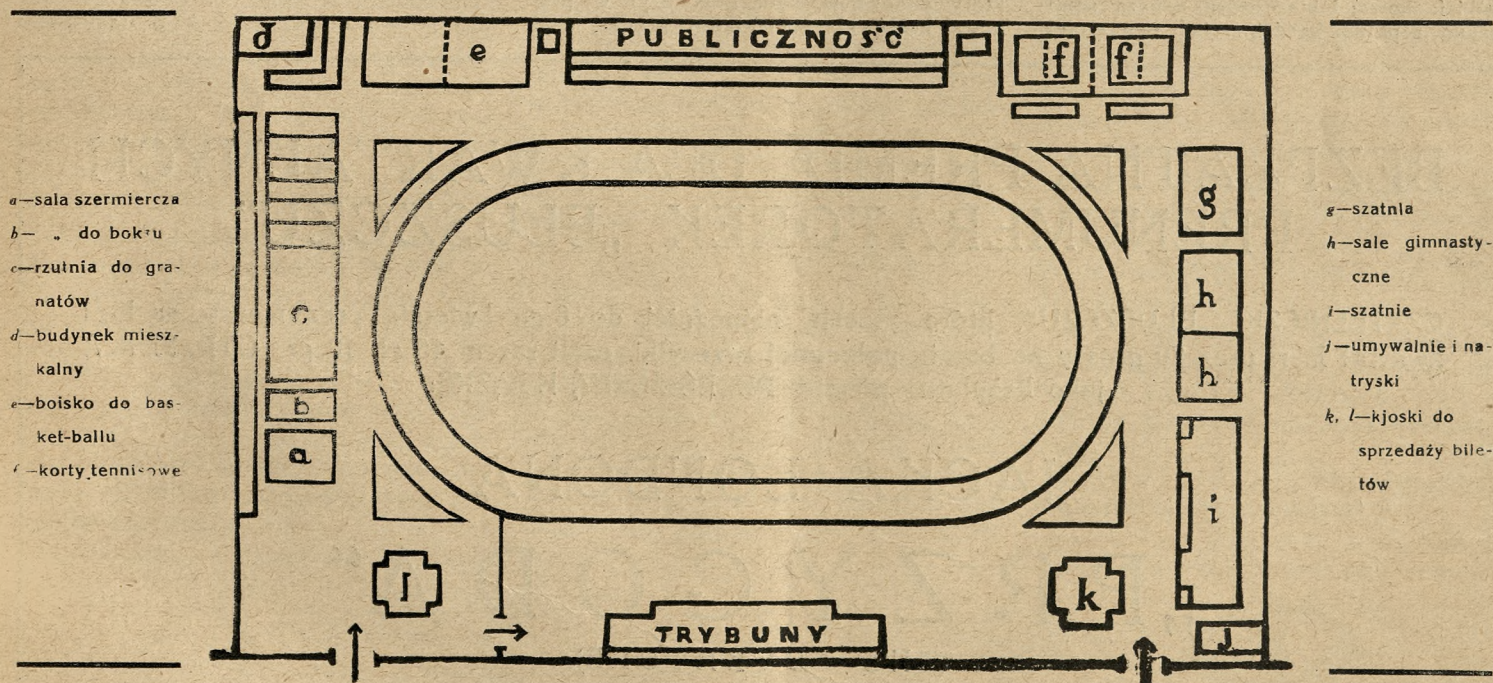
Naturalnie, że współżycie takie będzie mocno skomplikowane i musi być bardzo jasno i dokładnie statutowo unormowane, jeśli się chce uniknąć możliwych konfliktów i wzajemnego przeszkadzania sobie.

Sekcja techniczna, jak wskazuje nazwa, pracuje nad właściwą budową stadjonu, podaje i rozpatruje projekty, czuwa nad ich przeprowadzeniem. Tu podkreślić musimy, że plan budowy, zrobiony przez specjalistów na wzór najnowszych stadjonów angielskich,

Koło Polek już posiada. (rysunek poniżej). Naturalnie, że może on jeszcze być modyfikowany, rozszerzany i t. p. przez Komitet Budowy, zależnie od wymagań sekcji technicznej i możliwości sekcji finansowej, której zadaniem będzie zdobycie funduszy. Podkreślam, że warunkiem uzyskania omawianego terenu było, iż wszelkie wznoszone na nim budowle muszą być zatwierdzone przez Ministerstwo Robót Publicznych.

Ponieważ jednak wykonanie tak wielkich prac budowlanych wymagać będzie dużo czasu i pieniędzy i musi być poprzedzone zniwelowaniem znacznej części terenu, nie chcąc odkładać możliwości używania boisk aż do ukończenia budowy stadjonu, Koło Polek już w tym roku na wiosnę chce przy pomocy poszczególnych członków Komitetu Budowy uruchomić urządzenia, nie wymagające dużych nakładów, jak place do gier i zabaw ruchowych, może plażę jaką niewielką, to wszystko jednym słowem, co zrobić można szybko i niedrogo i nie przeszkadzając równocześnie prowadzonym pracom niwelacyjnym. I. F

OBJAŚNIENIA DO PLANU STADJONU



Wobec małego formatu rysunku, który zamieszczamy, uwidocznione są na planie tylko ogólne zarysy wszystkich urządzeń z pominięciem wielu szczegółów. Środek stadjonu zajmuje bieżnia połączona ewentualnie z welodromem. Pole wewnętrzne przeznaczone jest na zbiorowe ćwiczenia gimnastyczne, musztrę, gry i zabawy, wymagające większej przestrzeni, jak hockey, football i t. p. Z lewej strony wejście dla publiczności, z prawej dla uczestników.

Z WILNA:

Szkolnictwo powszechne w Wilnie spoczywa, prawie całe, w rękach kobiet. Nauczycielki owe możemy podzielić na trzy kategorie. Pierwsza to jeszcze te, które przed wojną prowadziły tajne nauczanie; istoty spracowane, ciche, skromne, szare. Niektóre z nich ukończyły 4, 6, 7 klas rosyjskich żeńskich pensyj, niektóre tylko domowe wykształcenie posiadają. Jedyne ich świadectwem to szereg lat pracy, pracy ofiarnej, niebezpiecznej, której oddawały się całym gorącym, miłującym sercem.

Nie znają one nowych metod nauczania, nie orientują się może w owych zgola odmiennych niż dawniej hasłach i prądach.

Ale w dalszym ciągu, przekreślając zupełnie swoje ja, z istic zdumiewającym zapalem wśród licznych przeszkód, oddają się szkole i dzieciom.

Ciężkie też były chwile, gdy dwa lata temu poczęto redukować nauczycieli, nie posiadających dostatecznych kwalifikacyj. Społeczeństwo wileńskie stanęło wobec bardzo trudnego zadania. Z jednej strony chodzi o postawienie na pewnym poziomie szkoły powszechnej, o dostarczenie jej sił, któreby według wymagań najnowszej metody i dydaktyki prowadziły lekcje w szkołach; z drugiej strony wydawało się wprost potwornym, by różni, nowi dla Wilna ludzie, przybysze, po większej części z Galicji, rugowali ze szkół tych, dzięki którym polskość utrzymała się wśród ludu wileńskiego, które na wzór „Siłaczki” Żeromskiego nie rok, nie dwa, a 15 i 25 żyły tylko dziećmi i dla dzieci. Sprawa ta powierzchownie załagodzona nie jest jeszcze dotąd zupełnie wyjaśniona.

Drużba kategoria to nauczycielki — studentki. W 1920 i 21 roku było ich bardzo dużo. Potem poodpadały te, które studiowały medycynę lub nie miały zamiaru iść drogą pedagogiczną. Część pozostała jednak, i dotąd z ogromną trudnością łączy pracę w szkole z wykładami uniwersyteckimi. Co jest charakterystyczne, że ogromny procent po skończeniu uniwersytetu chce pozostać nadal w szkole powszechnej.

Trzecia kategoria to wreszcie nauczycielki fachowe; takie, które kończą seminarjum, a potem bądź instytut nauczyciel-

ski w Warszawie, bądź jakieś specjalne kursy. Obecnie mamy całe zastępy nowych sił, które w Wilnie się kształciły w Seminarjum. Większość z nich wprost po ukończeniu jedzie na wieś. Ale był czas, że przyjeżdżało moc nauczycielek z Galicji. Jak wszystkie siły napływowe nie cieszyły się zaufaniem wśród ludu wileńskiego, co się da tłumaczyć tem, że duży procent przyjeżdżał jednostek takich, których z przyjemnością pozbywano się w tamtych dzielnicach. Ale oczywiście trafiały się i istoty głębiej interesujące się szkolnictwem, inteligentne, które wiele dobrego zrobiły, przywoząc kulturę zachodu i dobrą polską wymowę. Odczuwamy duży brak w naszych szkołach powszechnych czystej i poprawnej mowy polskiej. W samym Wilnie poziom inteligencji wśród nauczycielstwa jest naogół wysoki, nierzadko spotykamy nauczycielki szkół powszechnych, posiadające wyższe wykształcenie, to też, gdy od czasu do czasu przybywające siły pedagogiczne z Warszawy lub Krakowa albo Lwowa organizowały odczyty dla nauczycielstwa, odczyty te swą popularnością oburzały i bawiły nauczycielstwo wileńskie.

Mamy w Wilnie 52 szkoły powszechne. Z tych wiele jest już siedmiooddziałowych, w innych co rok nowy oddział przybywa. Śliczna doświadczalnia przyrodnicza łącznie z ogrodem i dostatnie wyposażona w przezrocza daje możliwość prowadzenia przyrody poglądowo i bardzo rozwija dzieci. Każda szkoła ma swoje dnie, w których działwa udaje się do owej doświadczalni, młodsze oddziały raz na dwa tygodnie, starsze co tydzień.

Jedynie lokale szkolne są niewygodne i małe.

Z. Mackiewiczówna.

Z KSIĄŻEK

Janina, Porazińska, „Kichuś Majstra Lepiglina” wyd. Arcta, str. 157, Warszawa, 1924 r.

Krotochwila o glinianym chłopczyku, który cudownym sposobem ożył w pracowni krakowskiego majstra, prędko wta-

jemniczył się w obyczaje mieszczan, wiele dobrego zdziałał, niejednemu się naraził, od niejednego oberwał w skórę, a wszystko przy okazji oddawania misek glinianych klientom swego pana. |

Wesołe anegdoty o życiu mieszczan podwawelskich, o ich pracach i zabawach, a obok tego obrazy fantastyczne jak harce djabła ze Śmiercią, na które patrzy z za drzewa Kichuś, wszystko to spojone w nastroju pogody, opowiedziane lekko, z dbałością o rysy dawnego obyczajów. Epoki autorka ściśle nie oznacza. z toku akcji można to tylko stwierdzić, że Kraków nie jest już niemieckim miastem, ale średniowieczny ustroj cechowy żyje w nim jeszcze. Język zlekka archaizowany; więcej w nim wyrażeń gminnych, terminów fachowych, skrupulatnie wyjaśnionych w w przypisach.

Kompozycja historyjki luźna, jak przystało na pocieszne przygody Kichusia, który wtedy nawet jest zabawny gdy popłakuje. Ale ramy tej opowieści nie wiążą się z nią organicznie. Według słowa wstępnego („Zamiast wstępu”) i „Zakończenia” Kichuś jest postacią symboliczną, synem ziemi i słońca. Jako pagórek gliny wchłoniął w siebie krew polskiego żołnierza, a potem znalazł się wśród „legunów,” by zagrzawać ich do ciwały bojowej. Roli tej w książce nie spełnia. Działa wśród mieszczan wyłącznie w ich życiu prywatnym. Rycerskich pobudek nie daje nikomu.

Nieuzasadnione akcją właściwej opowieści są słowa wstępu, w których Kichuś powiada, że ojczyzna ochrzciła go „słońcem i rosą w imię Ojca na milewanie tej ziemi, w imię Syna na branie w piersi jej cierpienia, w imię Ducha na zmartwychwstanie.”

Prozą poetycką pisane dopełnienia ideowe klóca się z nastrojem anegdotycznej fabuły, niedostępne w swej treści dla czytelników właściwego odczytania. Opowiadanie na tem oczywiście nie traci, i dzieci około lat 10-ciu mogą książeczkę przeczytać z przyjemnością i z pożytkiem.

Z. Szmydtowa

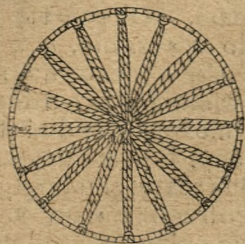
BEZPŁATNA PREMJA DLA KWARTALNYCH PRENUMERATOREK „BLUSZCZU”

CZYTELNICZKI „BLUSZCZU”, które prześlą najpóźniej do 8-go kwietnia prenumeratę za II-gi kwartał b. r. oraz 70 groszy na kosztą poleconej przesyłki, czyli razem 15 zł. 10 gr. OTRZYMAJĄ jako bezpłatną premję PRZEŚLICZNA KSIĄŻKĘ:

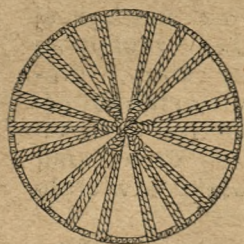
JACKA LONDONA „PRZYGODA” (THE ADVENTURE)

w znakomitym przekładzie Stanisławy Kuszelewskiej, ŚWIEŁO WYDANA przez E. Wendego i S-kę (cena księgarska 4 zł. 80 gr.), ZAWIERAJĄCĄ OPIS PRZYGÓD DZIELNEJ [KOBIECY NA MORZACH POŁUDNIOWYCH.

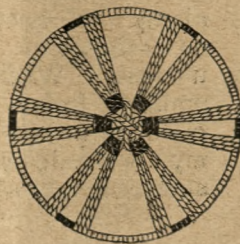
GUZICZKI NICIANE



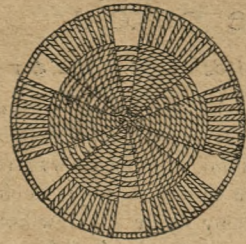
3



4



5



6

Jednym z najbardziej ważnych szczegółów garderoby damskiej, męskiej, lub dziecięcej—jest dobrze uszyta i starannie wykończona bielizna. W starannym wykończeniu bielizny pierwsze miejsce zajmują dobrze wydziergane dziurki i odpowiednio mocne i ładne guziczki.

W modnej obecnie eleganckiej bieliźnie damskiej guziczki małe mają zastosowanie, do cienkiej, edwabnej bielizny używane są małe guziczki z perłowej masy. Nie o tych jednak chcę mówić. Największa nawet elegancka prócz jedwabnej bielizny posiada w zapasie bieleżną praktyczniejszą, dziś tak bardzo używaną nansukową, czy opalową. Do tej najodpowiedniejsze są guziczki niciane, nie mówiąc o bieliźnie męskiej lub dziecięcej, do której używa się przeważnie właśnie tego rodzaju guziczków.

Znajdujące się w sprzedaży fabryczne guziczki niciane nie są praktyczne. W rękach najstaranniejszej i najwprawniejszej nawet praczki prawie połowa ulega zniszczeniu, połamaniu, pogięciu lub zardzewieniu. A co mówić pod tym względem o skutkach prania, wykonanego przez nasze „pomocnice” domowe „do wszystkiego”.

Daleko praktyczniejsze są guziki, wykonane ręcznie. Można je również dostać w handlu, lecz znacznie kosztowniejsze. W domu więc, gdzie jest sporo osób, a zwłaszcza kilko dzieci, które szczególnie szybko najmocniej nawet przyszyte guziki niszczą i gubią, kupowanie ręcznych guzików może dotkliwie zaciężać na budżecie domowym.

Wykonanie guziczków nicianych jest tymczasem rzeczą łatwą i dla niejednej z nas może stanowić miłą i przyjemną robotkę.

Każda więc z pań, posiadająca trochę wolnego czasu może bardzo łatwo i tanim sposobem zaopatrzyć swój dom w praktyczne i ładne guziczki własnego wyrobu. Ma to i tę dobrą stronę, że zawsze można dorobić brakującej guzik takiego deseni, jak pozostałe, co nie zawsze da się skutecznie, gdy guziczki kupujemy w sklepie, a bielizna traci wiele na estetycznym wyglądzie, kiedy guziczek jest innego deseni.

Do wykonania guzików potrzebne są foremki i kordonek odpowiedniej grubości. Foremki są to kółeczka różnej wielkości z nierdzewiącego metalu, można je dostać w każdym sklepie z przybarami do szycia.

Zależnie od wielkości guzika i grubości bielizny, do której ma być przszyty, używa się różnej grubości kordonka.

Odpowiednio do zastosowania, można robić guziki z kordonku w jednym, (białe do bielizny) lub w dwóch kolorach (do dziecięcych fartuszków) lub z jedwabnego kordonku (do kołder) zastosowane kolorem do meterji.

SPOSÓB WYKONANIA.

Rys. 1 guziczek do bielizny. Dwoma palcami lewej ręki trzymamy krążek wraz z końcem nitki, palcami zaś prawej ręki nawijamy nitkę na krążek 8 razy tak, aby pierwsza nitka dzieliła kółko na połowę, a następne leżały obok niej (a). Przekreścimy krążek i nawijamy w podobny sposób nitkę

w kierunku prostopadłym do poprzedniego również 8 razy. Miejsce skrzyżowania nitek musi koniecznie wypaść w środku koła, gdzie krzyżykiem łączymy nawinięte nici, aby się nie zsunęły (b). Następnie rozsuwamy nici igłą tak, aby każda tworzyła promień koła. Pomiedzy nitkami obdzierujemy krążek w ten sam sposób, jak dzierga się ząbki, tak by między dwoma promieniami koła wypadły dwie nitki dziergania, między zaś czterema grupami promieni, powinno wypaść osiem nitek dziergania (c).

Rys. 2. Guzik do bielizny. Nawinąć po 6 nitek (4 razy) umocować w środku krzyżykiem, dziergać 6 razy między każdym promieniem.

Rys. 3. Guzik do bielizny. Nawinąć po 6 nitek (3 razy) umocować krzyżykiem, dziergać między 2-ma nitkami 3 razy, raz przekładając nitkę.

Rys. 4. Guzik do bielizny. Nawinąć po 6 nitek (3 razy) rozdzielić w promieniu po 2 nitki dziergać 2 razy i 6 razy między promieniami. Występnować środek zwyczajnie przekładając igłę.

Rys. 5. Guzik z granatowego i kremowego kordonku Nawinąć po 6 nitek (3 razy) rozdzielić po 3 nitki, dziergać po 8 i po 4 razy między promieniami.

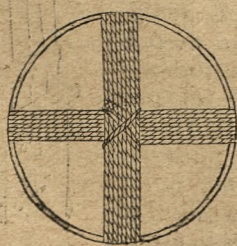
Rys. 6. Guzik z jedwabnego kordonku do kołdry. Nawinąć po 8 nitek (3 razy) dziergać po 1 r. między promieniami, występnować cały.

Rysunki podajemy w zwiększeniu dla łatwiejszej orientacji.

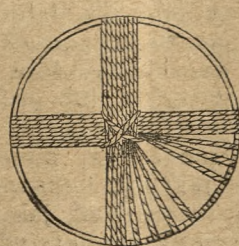
Z. M.



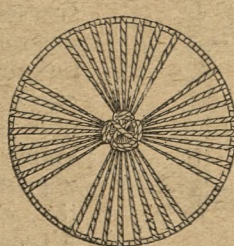
A.



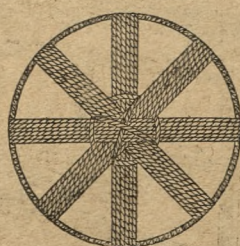
B.



C.



1



2

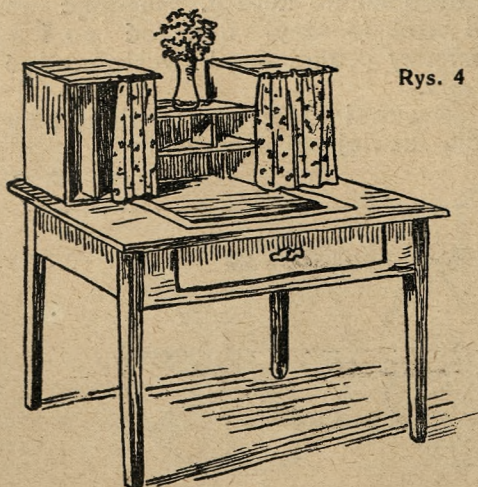
Jak stworzyć najmniej- szemi środkami urządze- nie pokoju

W odpowiedzi p. M. Ch. z Ł.)

„...bo my tu na kresach wszyscy jesteśmy osadnikami, chociaż nie wszyscy to miano nosimy. Budujemy domy z chlewików, a stoły, szafy i kanapy z pak, budujemy półki i kredensy z porąbanych polanek...” (wyjątek z listu jednej z czytelniczek do redakcji „Bluszczu”).

Coraz częściej zdarza mi się czytać lub słyszeć zapytania, jak urządzić sobie pokój, gdy się nie ma żadnych mebli, a jest się w ciężkich warunkach materialnych niższych urzędniczek państwowych lub mało zarabiających pracowniczek biurowych i t. d. Zwłaszcza na kresach, gdzie nieraz egzystować trzeba w zniszczonej wojną i nieodbudowanej jeszcze mieścinie, gdzie o odnalezionych, urządzonych pokojach nawet nie słyszano, a jeśli się uda zdobyć kawałek dachu nad głową i już nie pokój, a izdebkę dla paru nieraz osób, skromne środki materialne nie pozwalają na prymitywne bodaj jej umeblowanie.

Do użytku tych wydziedziczonych oddaję moje doświadczenie „z letniego mieszkania.” Urządzić jako tako izdebkę, w której szukało się wyczasów wakacyjnych — był to rodzaj sportu, w którym dochodziło się do doskonałości — nie myśląc, że przydać się to kiedyś może tym, które chciałyby odpocząć po całodziennym w kąciku, dającym im złudzenie domu, pozwalającym im cieszyć się myślą, że są u siebie. Trudne to zadanie stworzyć coś z niczego — ale, że nie uznaję niemożliwości i jestem

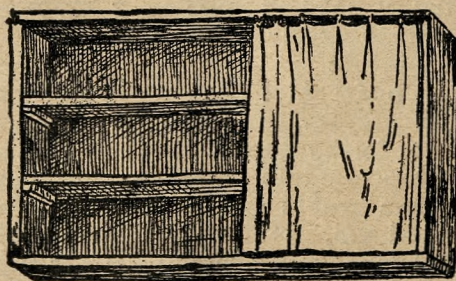


Rys. 4

z tych, dla których chcieć — to móc, spróbuję zbudować najprymitywniejsze wprawdzie, ale zawsze jednak umeblowanie. Zaczniemy od szafy, tak niezbędnej na schowanie ciężko zdobytego ubrania. Weźmiemy stary, drewniany kufer, (w ostateczności dużą pakę) kufer ten ustawimy na niewysokiej drewnianej skrzynce tak, aby wieko otwierało



Rys. 1.



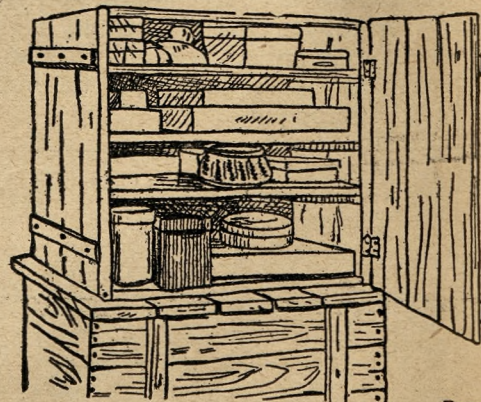
Rys. 3.

się na pokój — w górze wkręcimy haczyki i na nich wieszać będziemy suknie, bluzki i t. p. (Rys. 1) Skrzynię, na której ustawiliśmy kufer, obrócimy otwartą stroną na pokój, mocując na zawiasach żelaznych, lub zrobionych z kawałka starej skóry przykrycie skrzynki, które teraz będzie stanowiło jej drzwiczki. Do tych drzwiczek przybijemy zameczek albo haczyk, a w środku za pomocą listewek gwoździakami przytwierdzonych po dwóch bokach paczki, na które wsuniemy cienkie deseczki, lub grubą tekturę urządzimy półki na bieliznę i drobniaki. Można też, mając pudełko z grubej tektury, dopasować półki tak, aby je wsuwać, jak szufladkę. Wtedy trzeba zaopatrzyć je w środku w pętelkę z kolorowej tasiemki do wyciągania. Inny rodzaj szafy

urządzić można z półki drewnianej, ściętej w trójkąt i ściśle dopasowanej do rogu pokoju, zawieszonoj na hakach na odpowiedniej wysokości. Wkręca się w nią haczyki do wieszania, a z przodu zasłania się rozsuwanymi firankami. Na wierzchu tej pseudo-szafy ustawić można przedmioty służące do ozdoby, lub do użytku. Skoro mamy już szafę, zbudujemy teraz kredens.

Potrzebne nam są dwie skrzynki — pierwszą, głębszą i większą ustawimy na czterech podstawkach odpowiedniej wysokości — drugą trochę krótszą i znacznie płytszą postawimy na wierzchu (Rys. 2). Drzwiczki i półki umocujemy w ten sam sposób, co u poprzedniej skrzynki. W dolną, większą, kredensową szafkę chować będziemy naczynia pokojowe i kuchenne — w górną zapasy jedzenia.

W ten sam sposób sporządzimy szafkę na książki. Wybrać na nią trzeba paczkę wysoką na jedną tylko deskę, podzielić ją listewkami, stosownie do szerokości i zaopatrzyć w półki, tak od siebie odległe, aby można było ustawiać na nich książki. Z przodu zasłonimy szafkę firaneczką z perkaliku, do której u góry przyszyjemy pętelki z grubego sznurka, lub rogowe, albo druciane kółka, przez które przewlecemy gruby drut do zawieszenia na haczykach po dwóch końcach szafki i dwa sznurki tak, aby ich końce do ściągania wisały po obydwóch brzegach (Rys. 3). Szafeczkę powiesimy na ścianie w bliskości biurka, przy którym naturalnie najmielsze chwile spędzać będziemy. Na biurko użyjemy prostego sosnowego stolika z szufladą. Po dwóch jego końcach przybija się małe pudełko lub skrzyneczki drewniane, otwarte na zewnątrz, opatrzone w środku półeczką i zasłonięte firaneczkami. Przez środek biurka od szafeczki do szafy



Rys. 2

feczki ustawia się półki, zrobione z pudełek od cygar. Stolik nakrywa się kolorową bibułą, przypiętą z boku pluskiewkami, lub w ostateczności szarym papierem (Rys. 4).

Na zwyczajne drewniane krzeselka można uszyć poduszki wypchane wełną drzewną, zrobione z szarego płótna (samodziału) wyszytego w barwny deseń lub też z takiego jak firaneczki kretonu. Mając przygotowane szkielety mebli, trzeba się postarać o wykończenie ich i przyozdobienie pokoiku. Skrzynki z których stworzyliśmy wszystko, o ile można je oheblować i pociągając bezbarwnym lakierem, wyglądają będą porządnie i estetycznie. Jeśli by to było za trudne, a nadewszystko za kosztowne, trzeba sobie radzić inaczej. Można je samej pomalować na białe, lub okleić papierem kolorowym, imitującym drzewo albo szarym, przyozdobionym w kolorowe wycinanki w stylu ludowym. Półki wewnętrzne wyłożyć białym papierem, wyciętym w ażurowe zęby.

Kredens nakryć serwetką z płótna wyszytego, albo papierową ręcznie wycinaną.

Przy oknie zawiesić firanki z białej bibułki, misternie wycięte (wzór na nie podamy niedługo w „Bluszczu”) na wierzchach mebli poustawiać dzbany i garnki, wypalane w danej okolicy.

Na ścianach powiesić parę talarzy również miejscowych, wycinanek barwnych pasy i obrazki, zrobione z kart pocztowych, oprawionych w ramki z umalowanej tektury lub zrobione z drobnych szyszek, łączonych drucikami. Dla przyozdobienia ścian można także zawiesić nad łóżkiem matakę, zrobioną po prostu z kawałka siennika papierowego, malowanego lub wyszywanego w barwne desenie, która wykonana z gustem i poczuciem bardzo ślicznie wyglądać może. Jeżeli jeszcze na kilku brzoźowych słupkach w korze poustawiamy doniczki lub koszyczki z wikliny, napełnione w lecie kwitnącymi kwiatami, w zimie gałązkami świerku lub choiny, a gdzie nigdzie wazoniki, przytem utrzymamy we wzorowej czystości naszą izdebkę, stworzymy przemysłową kłębę, w którym każdy odwiedzający nas czuć się dobrze będzie, a nadewszystko same zadowolenie znajdziemy.

Rzucony przeze mnie projekt jest, rzecz oczywista, skromnym pomysłem — trzeba jednak jakoś sobie dawać radę w ciężkich powojennych warunkach.

Zresztą potrzeba jest matką wynalazku.

J. S.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZ- NEGO

Pani J. N. w Nałęczowie.

Aby usunąć osad wapienny z dna imbryków — trzeba nałożyć czysto wypłokanych obierek z kartofli — nalać miękką wodą i gotować tak długo, póki osad nie odejdzie.

Pani W. R. z Piotrkowa.

Plamy z much na meblach ściera się kawałkiem surowej cebuli.

Aby wywabić stearynę, należy położyć na niej gruby kawałek bibuły i nacierać rozgrzanym ostrzem noża. Trzeba to robić prędko, aby nie uszkodzić polityry. Następnie wytrzeć mebel płynem następującym: 60 gr. oleju lnianego i 50 gr. spirytusu zmieszać w butelce — niech postoi parę dni — maczać w tym płynie miękki kawałek flaneli i nacierać mocno cały mebel.

Klawiaturę wycierać codziennie miękką ściereczką — jeżeli zajdzie potrzeba umycia klawiszy, umyć je spirytusem, — klawiaturę nakrywać zawsze kołderką, uszytą z kawałka materyjki lub satyny, długiej jak klawiatura, złożonej na pół, nałożonej w środku ciekłą watą i przepikowanej jedwabiem. Ochrania ona klawisze od kurzu i dostępu powietrza, i zabezpiecza je od zżółknięcia.

Pani Zofji R....a

Kurs hodowli roślin pokojowych organizuje Koło Miłośników Ogrodnictwa.

Kurs trwać będzie 10 dni po dwie godziny dziennie i obejmie: rośliny ozdobne, kwitnące, cebulkowe, kłączone, paprocie i t. d. oraz zdobienie balkonów i zajęcia praktyczne. Zapisy przyjmuje Sekretariat Tow. Ogr. Warsz. Bagatela 3, tel 31-50 i Skład nasion Braci Chomicz — Zgoda 8, tel. 52-80.

RYBY MORSKIE

Tyle lat nie posiadaliśmy własnego morza, że zupełnie prawie nie znamy użytku ryb morskich, które w Europie zachodniej stanowią jeden z najbardziej rozpowszechnionych artykułów spożywczych. Ryby morskie są bardzo zdrowe, pożywne i znacznie tańsze od naszych domorosłych karpia, leszczy, szczupaków, a nawet bodai, że i żydowskich płotek. Nie wiem, jak jest na prowincji, w Warszawie jednak w ostatnich czasach otworzono kilka sklepów z morskimi rybami, niestety jednak większość gospo-

dyń nie odważa się ich kupować, gdyż nie zna poszczególnych gatunków i nie wie w jaki sposób mają być przyrządzane.

Powszechnie są znane łososie i węgorze, w stanie wędzonym i świeżym, zresztą oba te gatunki ryb mają tak wędrowne obyczaje, że mogą równie dobrze być zaliczane do ryb rzecznych i morskich. Oba te gatunki ryb są dosyć kosztowne, przepisy ich przyrządzania są w każdej książce kucharskiej, zna je każda lepsza kucharka i doświadczeńsza gospodyni. Do ryb luksusowych należą też sole i turboty, które dawniej w dużej ilości przychodziły do nas z Francji, w kuchniach prywatnych mniej były używane, natomiast codziennie figurowały w jadłospisach pierwszorzędných restauracji.

Nie o nich chcę tutaj mówić. Chodzi mi o całe szeregi ryb, łowionych masowo na wybrzeżach pomorskich, ryb tanich, dostępnych najszerszym masom spożywców.

Otóż zacznę od fląder (wyżej wymienione sole i turboty są też z gatunku fląder). Największa z nich „raja” z niemiecka „rochą” zwana jest ogromną rybą, o nieco grubym, lecz bardzo smacznym, tłustym mięsie, używanem w ogromnej ilości we Francji, gdzie „la raie au beurre noir” jest niejako narodową potrawą, spotykaną od najlepszych restauracji, do najskromniejszych garkuchni. Ponieważ ryba jest ogromna, sprzedaje się ją przeważnie częściowo, — gotuje się ją jak każdą inną rybę w krótkim sosie z cebulą, pieprzem i listkiem i podaje z każdym zimnym czy gorącym sosem, musztardowym, kaparowym, chrzanem z octem lub tatarskim. „Czarne masło” którym ją polewają we Francji, robi się w sposób następujący: Kawałek tustego, dobrego, solonego masła rozpuszcza się na patelni i mocno rumieni, wysypuje się na to szczyptę pszennej mąki, która natychmiast powinna zczernieć, nie zagęszczając jednak masła wlać w to łyżkę najlepszego octu, zagotować raz i polać natychmiast ułożoną na półmisku rybę.

Raja wędzona, sprzedawana kawałkami, jest bardzo dobrym dodatkiem do tartynek, lub daniem śniadaniowym z gotowanymi kartoflami i świeżym masłem, przy jedzeniu należy oddzielać skórę, na której się znajdują małe, ostre łuszczyki — przy gotowaniu świeżej raji należy te łuszczyki starannie zdrzeć tarką lub nożem.

Mniejsza od raji, lecz jeszcze bardzo dużą rybą jest płastuga zupełnie przypominająca turbota, o mięsie jednak mniej delikatnem,

Jest w handlu świeża i wędzona, pierwszą się podaje gotowaną z różnymi sosami i kartoflami z wody, druga smakuje jak olbrzymia flądra. Flądry właściwe, mniejsze od dwóch większych siostr, mają mięso dużo od nich delikatniejsze i w stanie świeżym najlepiej smakują smażone z dodatkiem cytryny, pokrajanej w podłużne ćwiartki lub sałaty z kwaszonej kapusty. Flądry wędzone oprócz jedzenia ich do przekąski, ogromne usługi oddają w kuchni postnej — włożone na kilka minut przed wydaniem do zup postnych: grochówki, fasolówki, barszczu, kapuśniaku, zupy szczawiowej, i krupniku, dają tym zupom wyborny smak wędliny, same zaś nie tylko nie tracą nic na tem ugotowaniu, lecz stają się jeszcze smaczniejsze i łatwiej odstając od skórki i ości dają się zjeść wybornie z dodatkiem tłuczonych kartofli, makaronu lub puré z grochu, czy z fasoli.

Pomokle, brzany, certy, makrele i skumbrje, dochodzą do nas przeważnie w stanie wędzonym, lub jako konserwy marynaty w puszkach.

Wszystkie te gatunki są wyborne do gotowanie i smażenia na świeżo. Z nich certy są nieco za ościste, smak ich jednak bardzo delikatny, każe się godzić z tą małą niedogodnością. Zjawiają się niekiedy w składach warszawskich, w czasie dużych mrozów, gdyż ryby te, niezbyt duże, a bardzo tłuste, z trudnością znoszą dalszy przewóz. Wszystkie je bardzo gorąco polecam gospodyniom, jako bardzo wykwintne w smaku.

Pomokle i brzany można też gotować i podawać z sosem holenderskim, pomidorowym i z masłem i jajami, jak okonie. Wszystkie te pięć gatunków ryb po usmażeniu można zamarynować w lekkim occie, ugotowanym z włoszczyzną, drobno pokrajaną, cebulą, listkiem, zielem i pieprzem. Taka marynata może być podana do najwykwintniejszego śniadania, tak jak wszystkie te gatunki ryb wędzonych. Należy tylko przy kupnie uważać, aby pochodziły z ostatniego transportu, gdyż świeżość ich nie tylko stanowi o ich wpływie na zdrowie, lecz i o ich smaku.

Zupełnie inaczej wyglądają duże ryby morskie: Łosoś biały, szczupak morski, lin morski i dorsz. Są to wszystko duże ryby o białym mięsie. Najlepszym jest łosoś biały, najgrubsze mięso ma dorsz, wszystkie jednakowo są pożywne, zdrowe i łatwe do przyrządzenia. Czy to gotowane w całości do różnych sosów, czy krajane w plastry i sma-

żone do okładania różnych jarzyn i podawania z sałatami, można je traktować jak dużego szczupaka, lub sandacza. Oprócz lekkiego zapachu i posmaku morskich, do którego się łatwo przyzwyczaić, niczem się od nich nie różnią, chyba dużymi rozmiarami i małą ilością ości.

Dorsz, najpospolitszy z nich, jada się przeważnie gotowany z kartoflami z wody i z masłem i jajami. Ktoby jednak znajdował, że mięso jego nie jest dosyć delikatne, niech go nafaszeruje, jak rybę po żydowsku, na zimno i na gorąco będzie miał wyborną potrawę, w niczem najlepszemu szczupakowi nie ustępującą.

Kotlety lub krążki z dorsza są też wyśmienite, najodpowiedniejszym dodatkiem do nich jest chrzan z octem, lub cytryna na ćwiartki pokrajana. Dorsz jest tak smaczny, podzielny i tani, że powinien się znaleźć w każdym, rozsądnie prowadzonym gospodarstwie.

A teraz przejdziemy do rodziny śledzi, od największych piklingów, poprzez wszelkie śledzie wędzone, łososiowate i inne różnych rozmiarów sielawki, aż do drobnych szprottek. Wszystkie te ryby dają tanie, zdrowe i pożywne jedzenie. Są bardzo tłuste, więc dla ludzi oszczędnych przymusowo, czynią zbędnym masło do chleba i bułki, z którymi są spożywane. Doskonale się nadają na śniadania i kolacje dla nieszczęśliwców, nie posiadających własnej kuchni i gospodarstwa.

Dla pomysłowych gospodyń są przyjemną pomocą w obmyśleniu rozmaitych forszmaków, zapiekank w śmietanie, tartynek i sandwiczów. Świeże sielawki, a głównie świeże śledzie są nadzwyczaj delikatne smażone. Należy wybierać do tego mleczaiki, po starannem oczyszczeniu, tarza się je w bułeczce zmieszanej z mąką i smaży na obficie rozpuszczonym maśle lub szmalcu do zrumienienia z obu stron. Kwaszona kapusta i cytryna są najodpowiedniejszymi do nich dodatkami. Dobrze przyrządzone będą mile widziane przez najgrymańszych smakoszy. Po usmażeniu można je zamarynować w occie z włoszczyzną, jak to mówiłam o pomoklach, makrelach i innych rybach tego rozmiaru. Marynata taka będzie pierwszorzędną zakąską.

Śledzie świeże są rybą sezonową, którą się łowi tylko sporadycznie. Przy kupnie należy dobrze uważać aby były bardzo świeże, co się poznaje w sposób następujący: przy przyciśnięciu mięso powinno

być twarde, nie powinno pozostawiać jamki w miejscu przyciśnięcia palcem, przy rozdarcu brzuszka ości nie powinny odstawać od mięsa. Śledzie świeże są również tanie, jak dorsze i w czasie ich sezonu powinny wszędzie być w użyciu. Wszystko, co napisałam o śledziach, odnosi się też do ich mniejszych siostr—sielawek. Świeżość ich gra w ich smaku pierwszorzędną rolę.

Pani Elżbieta

ŚWIĘCONE

Uświęcony tradycją obyczaj ustawiania stołu ze Święconem rzadziej już bywa obserwowany w miastach. W mieście upieką jakieś placki i mazurki, kupią przeważnie w cukierni gotową babę, szynka lub indyk na zimno zastępują gorące mięso przy obiedzie, ale obiad się podaje, jak w każdy inny dzień w roku. Natomiast na wsi, i dzisiaj, jak przed laty, stoły się uginają pod ciężarem ciast i mięsów, goście i domownicy zaczynają spożywać te poświęcone dary Boże natychmiast po Rezurekcji, i raczą się niemi, z małymi przerwami na przechadzkę, bridge'a, lub onestepa, zależnie od składu domu, aż do przewodniej niedzieli, odnawiając co dni parę półmiski, żeby wszystko było świeże i zdrowe i zapijając każdy posiłek smaczkowitym barszczykiem lub rosółem w filiżankach, już nie mówiąc o innych napojach. Nie namawiając nikogo do zbytku, do robienia wydatków nad stan i możliwość, uważam jednak że z wielu względów tradycję ustawiania Święconego należałoby zachować i w miastach.

Pani i służba wprawdzie nieco więcej się spracują w dniach ostatnich Wielkiego Tygodnia, lecz za to mogą korzystać z zupełnego odpoczynku przez jakie trzy dni Świąt. Jeżeli chodzi o zwiększony wydatek, to i tak obiady świąteczne są zwykle kosztowniejsze i wystawniejsze, a jeżeli umiejętnie zużytkować wszelkie resztki mięsów na bigosy, a kości od wędlin i drobiu na kwaśne, zabielałe zupy, — uwzględnić że mazurki i niecierstwiejące, świąteczne baby będą czas dłuższy służyły do podwieczorków lub zastępowały deser przy obiedzie, to się napewno okaże, że wydatek ten nie był tak olbrzymi. Nakoniec możliwość poczęstowania gości przysmakami domowymi stanowi dużą przyjemność dla każdej gospodyni. Tylko zastrzegam się, według stawu grobla! Kto może sobie pozwolić na

pieczeń cielęcą, niech nie kupuje indyka, — kto może upiec babę i dwa mazurki, niech nie piecze pięciu bab i dziesięciu mazurków. Przed urządzeniem święconego należy obliczyć swoje środki i możliwości, zrobić ścisły budżet i dokładnie do niego stosować zakupy. Robiąc sobie spis mięs i ciast, jakie podamy, należy zwrócić uwagę, aby w nich panowała największa możliwie różnorodność. Jeżeli oprócz tradycyjnej szynki, która na każdym się chyba znajdzie stole, (dla niedużych rodzin polecam, nie ustępujący jej w smaku, a o połowę mniej ważący baleron) damy na jedno mięso cielęcine, to dajmy na drugie sztufadę lub rozbeł, jeśli indyka — na drugie zająca, lub pieczeń sarnią, jeśli gałtanyę z pulardy — jako jej odpowiednik pasztet ze zwierzyny, lub z wątróbek cielęcych. Toż samo przy ciastach, okropnie monotonnym wyda się święcone, jeśli będą w niem figurowały baby, tort i mazurek czekoladowy. Szczególniej, kiedy chodzi o migdały, gospodynie mają skłonność do ich nadużywania. Zdarzało mi się spotykać kilkanaście rodzajów ciast, wszystkie z migdałów, z migdałami lub chociaż z zapachem migdałów. Należy to koniecznie dobrze obmyśleć i urozmaicić. Mamy teraz w kraju taką obfitość cytryn, pomarańcz, orzechów najprzeróżniejszych, bakalii wszelkich i korzeni, że chyba nie można nam mieć za złe, że bez względu na ciężkie czasy zużywamy ich za wiele. Na tem miejscu muszę zrobić uwagę, że przeważnie używamy do ciast tylko orzechów włoskich, tymczasem torty, mazurki i masy do przekładańców z orzechów laskowych lub tureckich są jeszcze dużo wykwintniejsze w smaku, posłużą to szczególnie, paniom kresowym, nie mającym możliwości nabycia świeżych orzechów włoskich. Panie ze wsi z konieczności zaopatrują się we wszelkie zapasy wcześniej i robią to w większych ilościach. Otóż radziłabym paniom miastowym zrobić to samo. Wszystkie wiemy doskonale, że w ostatnich dniach przedświątecznych nietylko ceny na wszystko idą w górę lecz nawet sprawunki w sklepach stają się niemożliwe z racji natłoku publiczności i przemęczenia personelu. Mniejszych ilości np. sto gramów (10 dkm.) cykaty lub gorzkich migdałów niema sposobu się doprosić, uwaga cała jest zwrócona na nabywcę, kupującego dziesiątki kilogramów.

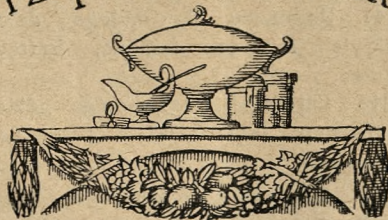
Otóż po zrobieniu kosztorysu święconego możemy już teraz kupić prawie wszystko co potrzeba: Mąkę, cukier, masło, (koniecznie

tłuste, i najlepszego gatunku,) jaja orzechy, migdały, rodzenki, cykatę, figi, daktyle, wanilię, cynamon, goździki, gałkę i kwiat muszkatelowy, owoce amerykańskie na kompot do pieczystego, oliwę i musztardę na sosy, wino, wódkę i likier. Jaja i masło, trzymane w suchem, chłodnym miejscu nic nie tracą na wartości.

Szynka wisząc nabiera smaku. Przed Kwietnią niedzielą możemy zrobić resztę zakupów, drób i zwierzyna, powieszona na balkonie, mogą doskonale doczekać wielkiego czwartku lub piątku, nie należy ich tylko niczem szczelnie zawiązać, aby zimne powietrze miało dostęp, sztufadę można zamarynować na dni kilka w lekkim occie z korzeniami, toż samo sarninę lub zająca. Prządki i wątroby można udusić wraz z boczkiem i trzymać w glinianym, polewanym garczku dni kilka do chwili pieczenia pasztetu, Cielęcine, o ile podajemy saletrowaną, należy zamarynować na dni dziesięć wraz z ozorami lub boczkiem, w przeciwnym razie można ją zalać zimną wodą przegotowaną z solą, pieprzem i listkami. Może tak leżeć dni dziesięć na chłodzie, nie zmieniając smaku. Na dni ostatnie pozostaną nam pomarańcze, cytryny i drożdże, — a czasu i pieniędzy zaoszczędzimy bardzo dużo.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



BABY TŁUSTE

Sto pięćdziesiąt gr. drożdży, 800 gr. mąki, 400 gr. masła najlepszego, wymytego z soli, skórka otarta z dwóch cytryn, sok z jednej cytryny i szesnaście jaj. Drożdże rozmoczyć w półkwatku (filizance) mleka, wlać do połowy mąki, rozbić jak najdokładniej łyżką, postawić, przykryte płótnem w ciepłe, aby podrosły. Tymczasem utrzeć 400 gr. masła w donicy na śmietanę, dosypując po łyżce cukru i wbijając po jednym żółtku, dodać skórkę i sok z cytryny. Ucierać tak całą godzinę. Gdy rozczyn podrośnie, zmieszać go lekko z maślaną masą, dosypując po łyżce drugie 400 gr. mąki.

Szesnaście białek ubić na sztywną pianę, (od dobrego ich ubicia zależy smak i lekkość baby) zmie-

ścić ostrożnie z ciastem, aby piana nie opadła.

Mieć uprzednio przygotowane dwie formy gliniane lub metalowe, wysmarowane masłem i wysypane bułeczką, nałożyć i wstawić natychmiast do niezbyt gorącego pieca. Jeśli pieczemy babę pod blachą, należy jej dać w lekkim piecu dobrze podrosnąć, a dopiero po jakiej pół godzinie dodać węgla lub drzewa, aby się dobrze zrumieniała. W piekarskim piecu należy ją trzymać początkowo blisko otworu, gdzie jest mniej gorąco, a potem dopiero wsunąć głębiej.

Próbować jak wszystkie ciasta cienkim patyczkiem, jeśli po przekłuciu ciasto nie przylega do patyczka, baba gotowa. Wyrzucić ją na poduszkę, pokrytą serwetą lub papierem, aby od wstrząśnienia nie opadła. Jest to baba wyborowa w smaku, długo nie czerstwiejąca i kilkakrotnie przezemnie wypróbowana.

MAZUREK WYKWINTNY.

Dwanaście żółtek twardych utrzeć na masę, dodać 400 gr. pudru, 400 gr. tartej czekolady, 200 gr. migdałów, zmielonych jak najdrobniej, — wyrobić to wszystko na gładką masę, ułożyć na dwa opłatki, dzieląc porównie i pozostawiając nieco na uformowanie ranciku na wierzchu (parę łyżek masy). 200 gr. migdałów obranych, uprażyć do lekkiego zrumienienia, zemleć jak najdrobniej, utrzeć 200 gr. masła najświeższego na śmietanę, dodać 200 gr. pudru i uprażone migdały, utrzeć na gładką masę, przełożyć tą masą dwie warstwy mazurka. Zrobić na wierzchu, wokoło cienki rancik z pozostawionej, czekoladowej masy i zalać pomadką, ugotowaną z 200 gr. czekolady, 200 gr. cukru, pół szklanki śmietanki i łyżeczki śmietankowego masła. Gotować, próbując kroplami na talerzyku porcelanowym, gdy kropla zastyga, można wylewać na mazurek.

MAZUREK POMARAŃCZOWY.

Upiec ciasto kruche z 400 gr. mąki, 200 gr. masła utartego na śmietanę i 200 gr. cukru, rozwałkować na grubość pół palca ułożyć na blasze i upiec do lekkiego zrumienienia. Pięć pomarańcz i dwie cytryny przepuścić przez maszynkę do mięsa, zmieszać z cukrem i smażyć na bardzo wolnym ogniu, wciąż mieszając, aby się nie przypaliły. Gdy marmolada zacznie się ścinać, ułożyć ją równo na ostudzonym kruchem cieście i zastudzić.

MAZUREK MIODOWY.

Dwa funty orzechów laskowych, zważonych już po obraniu z łupin zemleć, lub drobno pokrajać. Funt miodu i funt cukru zasmażyć razem, aż się zacznie syrop rumieć. Wsypać na to orzechy i jeszcze minut parę smażyć na wolnym ogniu. Dwanaście białek ubitych na sztywną pianę dodać do masy orzechowej, — na razie piana bardzo urośnie, należy ją pilnie mięszać, aż nieco opadnie i dokładnie się połączy z orzechową masą. Mieć przygotowaną podstawę z kruchego ciasta, lub ułożone na blaszki duże opłatki, układać łyżką równą warstwę tej masy i wsunąć na minut 15 pod blachę dla lekkiego zrumienienia.

KRUCHE CIASTO NA PODSTAWY DO MAZURKÓW.

Kwaterka śmietany, pół funta tłustego masła, pół funta cukru, szczypta soli i tyle mąki, aby ciasto się dało wałkować cienko. Masło utrzeć w misie lub donicy na śmietaną, dodać cukier i śmietaną, ucierać jeszcze, nakoniec dosypywać po trosze mąki wciąż ucierając, wyłożyć na stolnicę, dosypywać mąki, wciąż silnie wyrabiając ręką. Gdy ciasto jest tak gęste, że można je rozplaszczyc na stolnicy nie krusząc, uformować zeń dużą kulę i wynieść na godzin parę do lodowni, lub chociaż do bardzo chłodnej spiżarni. Na dzień przed pieczeniem mazurków podzielić to ciasto na części, rozwałkować jak najcieniej, ułożyć na długie blachy, lub też wyłożyć niem formy, przygotowane do mazurków, (jeżeli podstawy mają być z rancikiem). Piec w gorącym piecu do zrumienienia, uważając, aby się nie przypaliło. Pozdejmovać z blach i trzymać do użycia. W suchym miejscu może stać dni kilka nie miękając.

Pani Elżbieta.

Opis sukien i robót do Nr. 13.

224. Suknia na ulicę z wełny w kratę, przybrana sukniem w jednym kolorze.

225. Żakiet-palto z brązowej wełny z kolorową odciętą falbaną.

226. Suknia z granatowej wełny, z odciętym karczkiem, pas z taśmy czarnej, zakończony chwastem.

227. Zwyczajna suknia z dwóch materiałów. Góra deseniowa, przybrana guziczkami — dół gładki. Forma na tablicy kroju.

228. Paltocik dla dziewczynki od lat 7 do 9 z sukienka fox trott, lub ciemno-zielonego. Forma na tablicy kroju.

229. Paltocik dla dziewczynki od lat 4 do 6 z piaskowego sukienka, wykończony lamowaniem kolorowem. Forma na tablicy kroju.

230. Paltocik dla dziewczynki od lat 3 do 5 z ponsowego sukienka, wyszyty granatowym.

231. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 8 z brązowej, lekkiej wełny, przybrana sukienkiem piaskowem.

232. Płaszcz dla dziewczynki od lat 7 do 10 z cienkiego popielatego zamszu.

233. Suknia z deseniowego crêpe marocain — dół i kamizelka z gładkiego atlasu.

234. Bluzka z białej „tricotine“ wykończona mereżką, Pasek z czarnej aksamitki.

235. Bluzka z sukienka koloru „brique“, przybrana haftem. Forma na tablicy kroju.

236. Spódnica z materiału w pasy. Forma na tablicy kroju.

237. Palto z jasnego sukna, przybrane haftem.

238. Palto z materiału wytłaczanego w deseń. Kołnier z gładkiego jedwabiu.

239. Poduszka dla małego dziecka, przybrana falbanami dzierganymi i haftowanymi w angielskie dziurki.

240. Sukienka z białej piki, lub flanelki dla małego dziecka.

241. Poduszka dla małego dziecka, przykryta szeroką falbaną, haftowaną ręcznie.

242. Fartuszek dla małego dziecka, wykończony falbankami i przewleczony wstążeczką.

243. Czepeczek z organdy, przybrany wstawką gipiurową i falbaneczką.

244. Majteczki dla małego dziecka

245. Koszulka kimonowa dla małego dziecka, wyszyta krzyżkami.

246. Śliniaczek obdziergany kolorową bawełną i przybrany haftem.

247. Sukienka dla małego dziecka, wykończona mereżką.

248. Worek do spania dla małego dziecka, opisany w art. „Wyprawka dziecięca“ w Nr. 11 „Bluszczu.“

249. Kapturek z organdy, haftowany ręcznie.

250. Bluzka z woalu, przybrana plisowaną falbaneczką.

251. Bluzka z crêpe de chine'u [koloru szmaragdowego z plisowaną falbaną.

252. Spódnica z wełny w pasy.

253. Spódnica z wełny w kratę.

254. 256. Narożniki na siatce do poszewek, lub wykładów.

255. Wstawka na siatce.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50 suknia zwyczajna „ 2.50 bluzka „ 2.00 formy dziecięce „ 2.00 bielizna „ 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, T.WO REKLAMY MIĘDZYNAR. S-ka z Ogr. Odp. OGŁOSZENIA Gen. Rep. RUDOLF MOSSE—Marszałkowska 124, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, „POWSZECHNE BIURO OGŁOSZEŃ“ — Fredry 4. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Bielańska 4. Centralne Biuro Ogłoszeń L. i E. METZL i Sp. — Jasna 17. Biuro dzienników S. UNGRA—Senatorska 12

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA,

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW

Kierownik Graficzny EDMUND BARTŁOMIEJCZYK.

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT BIURA PRASOWEGO DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

28 MARCA 1925 r.

Walka z handlem kobietami i dziećmi

Z inicjatywy Chrześcijańskiego Tow. Ochrony Kobiet zwołane zostało w dniu 13 marca, do sali posiedzeń w H. telu Europejskim wielkie międzystowarzyszeniowe zebranie, w sprawie walki z prostytucją i handlem żywym towarem.

Zebranie było liczne i złożone z wybitnych działaczek i działaczy, którzy tu bez różnicy przekonań politycznych zesłali się, by wytoczyć walkę najstraszniejszemu wrogowi odrodzenia narodu.

Podkreślić należy zupełną zgodę w poglądach na tę sprawę ludzi, pod względem politycznym, stojących na przeciwległych biegunach.

Zebranie zagała wiceprzewodnicząca Tow. Ochr. Kobiet, kanoniczka Ośniałowska.

Na przewodniczącą zebrania zaproszono p. Teodorę Męczkowską, na asesorów posł Puzyniankę, siostrę Klarę z Ewangelickiego Tow. Ochr. Kobiet, Dr. Chodźkę, przedstawiciela Polski przy Lidze narodów i p. wojewodę Moldenhawera, na sekretarkę — p. H. Ceysingerównę.

Na sali znajdował się naczelnik Wydziału policji państwowej, komendant Koral, któremu powierzona jest organizacja policji kobiecej, przedstawiciele Urzędu Emigracyjnego, delegaci Komitetu walki z handlem kobietami i dziećmi, przedstawicielki i przedstawiciele stowarzyszeń itd.

Referat posłanki Holder Eggerowej, wypowiedziany z wielką mocą przekonania, głosem energicznym i donośnym, wywołał jaknajlepsze wrażenie.

P. Holder Eggerowa podkreślając, iż wojna podkopała moralność, społeczeństw, dowodzi, iż wraz z odrodzeniem gospodarczym, musimy zająć się jaknajtroskliwiej odrodzeniem moralnym narodu. Nie może bowiem powstać potęga gospodarcza, nie-

gruntowana na wartości moralnej. Tę potrzebę odczuwa nietylko Polska, ale ludzkość cała. Ludzkość cała chce usunąć haniebną plamę na purpurze cywilizacji, jaką jest prostytucja i handel żywym towarem. A zjawiska te są bezpośrednio ze sobą związane. Gdyby nie było prostytucji, nie byłoby handlu kobietami i dziećmi.

Referentka wzywa wszystkie kobiety w Polsce do połączenia się i wytworzenia silnego, ożywczego prądu. Pierwsze drgnienia tego prądu są już w powietrzu. Ze wszystkich stron kraju dochodzą błagania, aby się zająć tą sprawą, aby wyjaśnić ludziom, czym jest prostytucja i ohydny handel białymi niewolnicami. Poniżeniu kobiet musi być położony kres. Nic jednak zdziałać nie zdołamy, dopóki pokutować będziemy wśród nas zasada podwójnej moralności — innej dla kobiet, innej dla mężczyzn.

Bardzo silnie brzmiały słowa referentki, gdy mówiła: nie wolno nam pogardzać prostytutkami, ani ich potępiać! my jesteśmy winne, że są prostytutkami, my wychowaliśmy synów naszych w pojęciu podwójnej moralności, wychowaliśmy ich tak, że godności kobiecej wdziwczyni ubogiej uszanować nie umieją.

Powiedzenie to wywołało oklask całej sali.

Dlaczego Polska powinna najgorliwiej zająć się dziełem naprawy — ciągnęła dalej referentka — oto ponieważ od całego już szeregu lat była terenem, z którego najwięcej żywego towaru szło na wszystkie rynki świata.

Mowa polska rozbrzmiewała wszędzie, ale roz-

brzmiewała w lupanarach!

Skreśliwszy w krótkości historię międzynarodowych usiłowań, podejmowanych celem opanowania tej klęski, zaznaczywszy związek między nierządem, a chorobami wenerycznymi, referentka przeszła do naszkicowania obecnego stanu sprawy w naszym kraju.

Już w r. 1922 zniesione zostały domy publiczne i wydano rozporządzenie, iż prostytutkom wolno wieszkać tylko we dwie. Faktycznie jednak istnieją tajne domy schadzek i tajne domy publiczne, a co najważniejsza prawodawstwo nasze, pochodzące z czasów niewoli nie zawiera paragrafów, nakładających właściwe kary za ciągnięcie zysków z nierządu, ani za handel kobietami. Obecnie jednak Ministerstwo Sprawiedliwości opracowuje projekt noweli, który istniejącą lukę wypełni i postawi wobec ciężkiej odpowiedzialności karnej wszystkich pośredników, sutenerów, alfonsów itd.

Drugim środkiem, który Polska podejmuje w walce z nierządem — to policja kobieca. Referentka podkreśla wysoką ideowość kobiet, które trudne to zadanie zechcą wziąć na siebie. Wreszcie zaznacza, że wszystkie środki zapobiegawcze przeciw epidemii chorób wenerycznych stosowane być muszą nietylko do kobiet, ale i do mężczyzn i że odpowiedni projekt ustawy wniesiony będzie do Sejmu.

Ostatecznie referentka uważa za konieczne zastosowanie w walce z nierządem i rozpustą następujących środków:

- 1) zmiany w prawodawstwie obowiązującym.
- 2) walka z pornografią.
- 3) walka z alkoholizmem, który wiedzie do prostytucji,
- 4) jaknajtroskliwsza opieka społeczna nad opuszczonymi dziećmi, potrzebującymi pracy dziewczętami, nad ofiarami nędzy i wyzysku.

5) zasadnicza zmiana w wychowaniu młodzieży męskiej,

6) policja kobieca.

Wolna Polska zrzucić musi haniebne pęta białego niewolnictwa—zakończyła zajmujący swój referat.

Następnie przemawiała p. Władysława Zarembina, której referat o Misjach dworcowych znajdują czytelniczki na wstępnych kartach „Bluszczu”.

Trzecim referentem był senator Pozner, jeden z pierwszych w Polsce pionierów walki z nierządem.

Mówił o emigrantkach polskich we Francji.

Liczbę ich ocenia na 50 do 80 tysięcy. Właściwie nikt nie wie, ile ich jest. Sprawa, o której mówić mu przychodzi, nie ma historii. Dotychczas nie zajmował się nią nikt. Konwencja emigracyjna, którą Rząd polski zawarł z Francją w r. 1919, była złą z gruntu. Następstwem jej było, że całe transporty emigrantek polskich, przeważnie chłopek, już na statkach francuskich padały ofiarą rozpusty wszystkich tam znajdujących się mężczyzn, od kapitana do palacza, a następnie przybywszy do Hawru, były prosto odstawiane do domów publicznych. Referent spotkał się w Genewie, gdzie jako przedstawiciel Polski zasiadał w Komisji Doradczej Ligi Narodów z zarzutem ze strony pani De la Sainte Croix, że Państwo Polskie, którego przedstawiciele występują z najbardziej postępowymi wnioskami co do walki z nierządem, samo handluje swemi kobietami. Oczywiście ani Państwo Polskie, ani jego przedstawiciel o wypadku w Hawrze nic nie wiedzieli.

Obecnie, zmieniona i poprawiona konwencja jest lepsza.

Zmieniono też t. zw. konwojentki (opiekunki, towarzyszące emigrantkom). Dziś są one prawdziwymi opiekunkami emigrujących kobiet. Jednakże, ani Urząd Emigracyjny w Warszawie, ani Konwojentki, ani tembardziej polski Rada emigracyjny, którego Biuro w Paryżu składa się z niego i jednej sekretarki, nie są w stanie otoczyć opieką tysięcy kobiet, urzędowo i nie urzędowo, emigrujących do Francji. Musi zająć się tem społeczeństwo, musi obmyśleć szereg środków obronnych. Emigracja wzrasta. Dziś już mamy we Francji przeszło pół miliona ludzi. Możemy dojść do półtora miliona. Nie wolno, założywszy ręce, patrzeć obojętnie na niedolę polskiego robotnika i hańbę polskiej kobiety! Referat improwizowany był z wielką swadą i porywał słuchaczy.

Potem odczytała jeszcze swoje wrażenia z podróży jedna z konwojentek, p. Kamińska, podkreśla-

jąc, że władze francuskie bardzo bezwzględnie przerwały jej kontakt z emigrantkami po przyjeździe do Toul...

Do obozowiska jej nie wpuszczono i nie chciano dać adresów, pod którymi emigrantki rozesłane być miały.

W dyskusji, która się wywiązała, zabierała głos posł. Puzynianka, p. Zofja Dąbska, senator Pozner, przedstawicielka Urzędu Emigracyjnego i inni.

Spóźniona pora nie pozwalała na dalsze rozstrząsanie interesujących kwestji. Zebrani wychodzili pod wrażeniem, iż spadł im na ramiona ciężar obowiązków, których istnienia dotąd nie wszyscy się domyślali.

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

SŁOMCZYN POD WARSZAWĄ
25 lutego. Miejscowe Kółko rolnicze zorganizowało tu dwudniowe kursy rolnicze, na których zaproszona instruktorka Ziemiaków p. W. Bogusławska wygłosiła wstępną pogadankę o potrzebie samokształcenia, a następnie — specjalną, o poprawnej hodowli drobiu. Śród kobiet wiejskich pogadanka wywołała duże zainteresowanie, a w rozmowach prywatnych wyrażały one żal, że czując potrzebę zrzeszenia się, nie mogą dojść do tego, ponieważ brak im inteligentnych kierowniczek. Zawiązane tu już raz Kółko Ziemiaków rozpadło się właśnie z tego powodu. Wśród mężczyzn dawały się słyszeć charakterystyczne głosy: Oh gdybyż nas mniej zajmowali polityką, a więcej dawali nam oświaty!

ZAKROCZYM, 27 lutego. Na zorganizowanych przez Kółko Rolnicze wykładach p. W. Bogusławska miała pogadankę o hodowli drobiu. Kobiety wiejskie gromadzą się chętnie na odczyty tego rodzaju.

Z życia stowarzyszeń

Z KLUBU POLITYCZNEGO KOBIECZNYCH POSTĘPOWYCH. Na ostatnim zebraniu miesiącznym dn. 12 b. m. zajmowano się sprawą Konkordatu ze Stolicą Apostolską. Referowała p. Bujak-Boguska. W wyniku wyczerpującej dyskusji, Klub doszedł do wniosku, że Konkordat w obecnej formie swojej nie powinien być ratyfikowany przez Sejm.

Postanowiono urządzić w sprawie tej publiczny wieczór dyskusyjny.

Z powodu imienin Marszałka Piłsudskiego Klub uchwalił złożyć mu ozdobnie wykonany adres, zaczynający się od słów:

„Za wszystkie kobiety, które korzystają z pełni praw politycznych i za te, które nie wiedzą i nie rozumieją, że ich polityczne równouprawnienie jest dziełem Twego Marszałku, dekretu z 1919 r. — my, jako organizacja, stojąca na straży praw kobiety, składamy Ci za ten akt demokratyzmu i sprawiedliwości cześć i hołd.”

W dalszym ciągu adres wyrażał, że Marszałek usunął się od czynnej, kierowniczej roli państwowej.

MISJA NA DWORCU WSCHODNIM. Jak dowiadujemy się, Tow. Ochr. Kobiet znalazło w okolicach Dworca Wschodniego lokal, odpowiedni na schronisko chwilowe dla przyjeżdżających, bezdomnych kobiet. W związku z tem Tow. Ochr. Kobiet zamierza uruchomić nowy oddział Misji Dworcowych, który na tym Dworcu będzie bogdaj jeszcze potrzebniejszy, niż na Głównym.

KURSY ZAWODOWE „RODZINY WOJSKOWEJ.” Dn. 16 marca odbyło się w sali pałacu Mostowskich zebranie organizacyjne i otwarcie Kursów zawodowych tow. „Rodzina Wojskowa.”

Kierowniczką sekcji kształcenia zawodowego jest p. Sokółwska. Na kursy zapisało się około 100 uczestniczek w różnych działach. Więcej zgłoszeń na razie nie przyjmuje się. Następny kurs zorganizowany będzie na jesieni.

SEKCJA SPORTOWA „RODZINY WOJSKOWEJ.” Dowiadujemy się o powstaniu nowej placówki sportu kobiecego. Jest nią sekcja sportowa „Rodziny Wojskowej.”

Stawia sobie ona za zadanie krzewienie wśród członkiń „Rodziny” racjonalnego poglądu na sprawę wychowania fizycznego kobiety i dziecka, oraz organizowanie dla nich lekcji zbiorowych gimnastyki, prowadzenie gier i sportów. Nie podając dotychczas bardziej szczegółowego planu pracy, zarząd sekcji zaznacza, że nie mogąc narazie z powodu braku sił fachowych, funduszy i niezbędnych lokali przystąpić własnymi tylko siłami do pracy, stara się o uzyskanie pomocy klubów sportowych i oddziałów wojskowych.

W najbliższym czasie rozpocznie się kurs jazdy konnej, a w sezonie letnim projektowana jest nauka pływania dla pań i dzieci oraz wioślarstwo i tennis.

Ze Sztuki

— W KAMIENICY BARYCZKÓW. Druga zmiana wystawy, urządzonej staraniem tow. „Zdobnictwo polskie“ w kamienicy Baryczków w Warszawie, zawiera przeważnie prace kobiet. Prócz wspaniałego gobelimu Marji Śliwińskiej, wykonanego według projektu art. malarki Zofji Stryjeńskiej, a przeznaczonego do Paryża na wystawę, spotykamy tam jedną całą salę, zapełnioną gobelinami i kilimami z pracowni tejże Marji Śliwińskiej. Drugą salę wypełniają kilimy i gobeliny z pracowni Jadwigi Handelmanowej.

Nadto znajdujemy na wystawie Wandy Szrajberówny malowanie na porcelanie, Z. Johnówny—szale batikowe, Zofji Moszkowskiej—malowanie na porcelanie, Z. Glińskiej-Jasińskiej—batiki Stadmüller Jadwigi—gobeliny, Kokowskiej—batiki, Czesławy Rotberżanki—hafty kolorowe na suknie (serweta na stół), Wiesławy Jasińskiej—przykrycie na fotel i makatę „Ptaki“, Anny Ludwig—batiki i hafty, Mierzyńskiej—bardzo interesujące, pełne wyrazu, i wysoce dekoracyjne obrazki z liści jesiennych; prześliczne wstążki jedwabne z pracowni Chełmińskiej, Grocholskiej i Zaborowskiej, hafty kolorowe na płótnie Związku pracy kobiet w Krakowie, Czesławy Rotberżanki i E. Onichimowskiej—wyłaczania na skórze (portfele, teczki, okładki i t.p.), Olgi Loewenstein—biżuterję srebrną, Inki Kaczkowskiej lalki z sukna, Stanisławy Jeske charakterystyczne lalki z gałganek, Zuzanny Messing z Łodzi—dywany, R. Mędręckiej—batiki (pokrycie na lampę), Laury Wejnbergowej—firanki point-lace, (sceny mitologiczne).

Oto zauważony przez nas plon pracy kobiet, bardzo różnorodny i przeważnie o dużej artystycznej wartości.

Poza tem znajdują się na wystawie wspaniałe makaty Buczackie z warsztatów, będących własnością hr. Artura Potockiego. Tajemnicza pracownia w Buczaczu, której podobno zwiędzać się nie pozwala, powinna być ze względu na dobro przemysłu krajowego, odsłonić swoje tajemnice. Makaty te miałyby za granicą niewątpliwie szalone powodzenie, a chodzi przecież o to, by Polska miała jaknajwięcej wyrobów swoich do zbycia.

— WYSTAWA PRAC MALARSKICH MICHALINY KRZYŻANOWSKIEJ W „SALONIE SZTUKI“, ul. MARSZAŁKOWSKA № 69. Pani Krzyżanowska trzyma się dróg umiarkowanego impresjonizmu. Obrazy jej są spokojne i bezpretensjonalne, szczerze i własne. Są dobre. Nie podlega żadnemu z kierunków najnowszych; nie znać na pracach jej wpływu zjawiskowej, prawie ekspresjonistycznej metody wypowiedzenia się męża. Szczegół ten jest bardzo ciekawy, dowodzi bowiem siły własnego widzenia i odczuwania, które sprawiły, że pani K. nie poddała się urokowi wielkiego talentu Konrada Krzyżanowskiego.¹⁾

Pani K. ma predylekcję do krajobrazów. Jej pejzaże nadrzeczne, łąki, stawy są soczyste, wilgotne, pełne powietrza; jej obłoki skłębione, przewalające się po niebie, kontrastują groźnie z ciemnym błękitem; przyroda w obrazach tych żyje.

W portrecie staruszki malarka zwraca głównie uwagę na wyraz skupienia i zamyślenia przy pracy; szczegóły są tu zaznaczone jedynie bardzo ogólnikowo.

Ciekawe jest „Studjum wieczorne“, w którym artystka wyzyskała umiejętnie efekty światło-cienia, wywołane przez wieczorne oświetlenie i wydobyla dużo „nastroju.“

Wiadomości Zagraniczne

AMERYKA. *Tłumaczka dzieł Mickiewicza.* Dowiadujemy się z pism amerykańskich, że uniwersytet kalifornijski wydał całkowity przekład dzieł Adama Mickiewicza w języku angielskim. Przekładu tego (podobno bardzo staranne) dokonało grono tłumaczy, pomiędzy którymi figuruje nazwisko p. Doroty Prall Radin.

FRANCJA. *Pomoc dla niezamożnych matek na prowincji* W uzupełnieniu wiadomości, o stowarzyszeniu pod nazwą „Mutualité Maternelle de Paris“, zamieszczonym w ostatnim numerze „Komunikatu“ podajemy dalsze szczegóły, zaczerpnięte z „Polonji“ o poradniach dla matek na prowincji.

Poradnie te, a jednocześnie domy położnicze, istnieją już w 9-ciu

Już po napisaniu tej notatki spotkałam się w sprawozdaniu p. M. W., umieszczonym w „Robotniku“, z opinią, wręcz odmienną. P. W. podziwia nawet tak całkowite u p. K. wyzbycie się indywidualności własnej na rzecz męża, do czego tylko kobieta może być zdolna.

departamentach i noszą nazwę „Maternités Rurales“. Każdy taki zakład obsługuje od 15—50 wsi okolicznych. Urządzone według wszelkich wymagań higieny nowoczesnej, zakład taki jest prawdziwym dobrodziejstwem dla ludności wiejskiej. Porad lekarskich udziela się pacjentkom niezamożnym zupełnie bezpłatnie. Przyjmowane są również bezpłatnie ubogie matki na czas porodu: otrzymują one w przeciągu 3 tygodni pobytu w zakładzie opiekę lelaarską i sanitarną, oraz całkowite utrzymanie zupełnie za darmo. Zamożniejsze pacjentki przy wyjściu z zakładu ofiarowują, wedle swego uznania, dowolną sumę na cele towarzystwa.

Pozatem każdy z takich zakładów posiada bezpłatną poradnię dla niemowląt, z której mogą korzystać wszystkie matki nie tylko w razie choroby dziecka, ale i dla stałej konsultacji. Dzieci przynieszone co dwa tygodnie są ważone i badane przez lekarza, celem śledzenia ich prawidłowego rozwoju fizycznego, a matki otrzymują dokładne wskazówki, jak się obchodzić z maleństwem aby uniknąć wszelkich chorób i komplikacji.

Niezmiernie pożyteczna ta instytucja jest najlepszym dowodem, jak dalece społeczeństwo francuskie uświadamia sobie konieczność troskliwego wychowywania przyszłych obywateli kraju od pierwszej chwili ich urodzenia. Jedynie przy tak dobrze zorganizowanej opiece nad matką i dzieckiem można zwalczyć najstraszliwszą klęskę społeczną—śmiertelności niewowląt, a tem samem zapobiec wyludnieniu, grożącemu Francji już od tak dawna.

AUSTRJA. *Walka z rakiem.* Na posiedzeniu Tow. Lekarskiego w Wiedniu prof. Rhoda Erdmann zdawała sprawę ze swych doświadczeń naukowych w dziedzinie badań nad rakiem. Doświadczenia te, jej zdaniem, wykazują zupełną możliwość regeneracji tkanki dotkniętej tą straszną chorobą.

Z życia prowincji

LWÓW 8 marca. W sali Związku Pracowników Gminnych odbyło się zebranie kobiet, zwołane przez P. P. S. Dyskusje toczono na temat roli kobiety w ruchu robotniczym. Z kobiet zabierały głos panie Winnikowa, Kobejkowa i Smulikowska.

GARWOLIN w marcu. Zawiązane w lipcu r. ub. Koło Kobiet przy Czerwonym Krzyżu, w ciągu swego przeszło półrocznego istnienia wykazało żywą działalność. Już w sierpniu zorganizowano sprzedaż

znaczką i inne imprezy, które przyniosły 842 zł. czystego dochodu. Dochody ze składek i innych źródeł dały 683 zł. Z sum tych Koło ofiarowało 150 zł. dla tow. „Laternia“ na urządzenie „gwiazdki“ dla ociemniałych żołnierzy. Następnie Koło zebrało 805 zł. i różne dary w naturze, co pozwoliło na urządzenie wieczerzy wigilijnej dla 550 żołnierzy I p. strzel. kon., a poatem każdy żołnierz otrzymał paczkę. Członkinie koła p. Jasińska i p. Makulcowa, które osobiście urządziły wieczerzę, okazały bardzo wiele serdeczności żołnierzom w czasie Wigilji.

Koło liczące dziś już 70 członkiń, stara się ciągle o powiększenie swego grona, a poatem stara się o zdobycie coraz większych funduszków, aby móc wypełnić zadanie, jakie na miejscowy oddział włożył zarząd Główny Czerwonego Krzyża, mianowicie zakupienie 4 wozów sanitarnych. Przy uspołecznieniu miejscowej ludności, poparciu władz i tak wydatnej jak dotąd pracy Koła—zadanie to zapewne wkrótce zostanie osiągnięte.

Kursy, odczyty, wykłady

— Na posiedzeniu Wileńskiego Tow. lekarskiego dn. 11 marca dr. J. Niepokojczycka miała wykład p. t. „Omówienie przypadku wodowstrętu, lezonego w szpitalu w Wilnie“.

— Na zebraniu dyskusyjnym na temat Konkordatu, które odbyło się dn. 11 b. m. w sali St. Handlowców m. Warszawy przy ul. Siennej 12, przemawiała między innymi p. Weychert-Szymanowska.

— Dn. 13 b. m. p. J. Jahołkowska wygłosiła w lokalu Związku Metalowców przy ul. Leszno № 58 w Warszawie odczyt o Brazylii p. t. „W krainie słońca i kwiatów“.

Na zebraniu T-wa literackiego im. Mickiewicza w Warszawie w dn. 12 b. m. dr. Chorwiczowa wygłosiła odczyt p. t. „Wydawnictwa krytyczne tekstów nowszych“

— Dn. 27.III odbyło się pod przewodnictwem prof. Koshembar Łyskowskiego, zebranie organizacyjne T-wa Polityki społecznej, na którym Dr. Daszyńska-Golińska referowała przebieg i uchwały zeszłorocznego kongresu polityki społecznej w Pradze. Do Zarządu T-wa weszły panie: Dr.

Daszyńska-Golińska (wiceprzewodnicząca) i Z. Dąbska.

— Dn. 10 b. m. na posiedzeniu plenarnym T-wa Medycyny Społecznej dr. J. Budzińska-Tylińska wygłosiła odczyt „O sprawie pomocy położniczej w Polsce“

— Dn. 8 b. m. rozpoczęły się powszechne wykłady uniwersyteckie w Piotrkowie, zorganizowane staraniem T-wa i Związku Nauczycielskiego. Wykładowcami będą profesorowie i asystenci Wszechnicy Krakowskiej. Pierwszy z cyklu tych wykładów p. t. „O zwierzętach i roślinach świecących“, wygłosiła Dr. Marja Solecka.

— Na konferencji szkół powszechnych m. Wilna, w dn. 6 b. m. dr. Bohuszczyńska podnosiła sprawę zorganizowania kolonji letnich dla ubogiej dlatwy.

— W sali Związku Zawodowego „Praca“, przy ulicy Głównej 31 w Łodzi odbyła się Akademia kobieca.

Przemawiały panie Irena Feistowa z Warszawy na temat „Kobieta jako matka i wychowawczyni w Polsce“; Stanisława Macińska — „O obowiązkach Polki w Odrodzonej Ojczyźnie“, oraz posłanka do Sejmu, Helena Holder-Eggerowa — „O roli kobiety polskiej w życiu gospodarzem Polski“.

Prelegentka wykazała tę olbrzymią siłę, jaką przedstawia polka w walce o byt handlu i przemysłu polskiego przed zalewem wrogim.

— Na Kursie pracy oświatowej pozaszkolnej w Janowie lub., zorganizowanym przez P. M. S. wykladała p. Kazimiera Rosinkiewiczówna z Koła Mł. Ziemiaków. Stałych słuchaczy zebrało się 231.

— Dnia 11 marca we Lwowie p. Anna Ludwika Czernowa, stała współpracowniczka „Kurjera Lwowskiego“ wygłosiła odczyt p. t. „Z kraju gusł, uroków i legend“. Prelegentka mówiła o gusłach i legendach ludu francuskiego. Odczyt miał ogromne powodzenie. Dochód przeznaczono na ochronkę im. Piłsudskiego.

Dnia 9 marca w białej sali pałacu Mostowskich w Warszawie dr. Zofja Garlicka mówiła na temat „Macierzyństwo a praca zawodowa“. Był to jeden z odczytów, zapowiedzianych przez stow. „Rodzina Wojskowa“. Po odczytciu nastąpiła dyskusja, w której wzięły udział panie: Konarzewska, Wisznicka, Sokołowska, dr. Switalska, Zienkiewiczowa i inne.

Przegląd prasy

— W „La Revue Française“ spotykamy artykuł, opowiadający o wizerunku współpracownika tego pisma w Paryskim Klubie Kobiet polskich.

— „Świat Kobiety“ (Kurjera Polskiego № 75), zamieszcza artykuł I. W. Kosmowskiej p. t. „Wyższa Szkoła pracy społecznej dla kobiet“. Autorka mówi o instytucji, stworzonej w Genewie przez Konfederację Pracy (przy Lidze Narodów), a która daje kołietom wykształcenie społeczne, po przygotowaniu ogólnym, specjalizujące je, w zakresie opieki nad małoletnimi, nad dziećmi anormalnymi, nad przestępcami, alkoholikami i t. d. i t. d.

W tym samym numerze znajdujemy dr. Garlickiej „Dom dla matki i dziecka“.

Marzeniem autorki jest dom, w którym matka, mieszkająca kątem lub w jednym pokoju wraz z mężem i innymi członkami rodziny, mogłaby po przyjściu na świat dziecka przebyć kilka tygodni wraz ze swym niemowlęciem. Dom powinien być obsługiwany przez lekarzy, przez fachowe pielęgniarki a finansowany przez Kasę chorych.

— „Rzeczpospolita“ № 71, zamieszcza szczegółowy opis życia i pracy Państwowego Seminarjum nauczycielek rzemiosł w Warszawie.

Przełożoną Seminarjum jest p. Gozimirska.

Sport

— Na X-ych Zawodach Międzynarodowych o Mistrzostwo Tatr na rok 1925, urządzonych w Westermowie, gdzie Polacy wogóle odnieśli duże sukcesy, p. Ela Ziętkiewiczowa znowu okazała się niezwalczoną. W biegu pań I klasy na 6 klm. przybyła pierwsza wyprzedzając o 24" swoją najgroźniejszą przeciwniczkę p. Annę Szczepansky.

Do biegu „pań“ od 14 — 16 lat stawiły się 2 Polki p. Leszczyńska i Sawczakówna; p. Leszczyńska przybyła pierwsza do mety.

Różne

— Zapotrzebowanie na robotnice polskie w Danji w roku bieżącym wynosi 1500 do 2000 osób. (Wychodźca № 11).